

KAROL SAUERLAND

NA PASTWĘ PŁO- MIENI

SYTUACJA LITERATURY
W PIERWSZYCH MIESIĄCACH
ISTNIENIA III RZESZY

dokumentacja
wraz z komentarzem

Już w kilkanaście dni po objęciu przez Hitlera stanowiska kanclerza (30.I.1933 r.) faszyci zabrali się do realizacji planów „oczyszczania” literatury z „elementów obcych miemiec-kiemu narodowi”. Jednym z pierwszych celów ich ataku stał się Wydział Literatury w Pruskiej Akademii Sztuk, który był im z dawna przysłowiową solą w oku. Jeszcze w roku 1930 Kolbenheyer, który stał się jednym z czołowych pisarzy III Rzeszy, zgłosił projekt nowego statutu Akademii, właśnie taki, jaki później władze faszystowskie narzuciły jej z całą bezwzględnością, zaś w kwietniu 1932 roku „Völkischer Beobachter” wystąpił z żądaniem rozwiązania Wydziału Literatury w ogóle. Funkcję prezesa tego Wydziału sprawował od 1931 roku Henryk Mann. Przyjął ją w przekonaniu, iż Akademia będzie strzegła wolności myśli i zadba o wprowadzenie do programu szkolnego wartościowej literatury. Na czele Pruskiego Ministerstwa Nauki, Sztuki i Oświaty stał jeszcze w owym czasie socjaldemokrata, A. Grimme, wykazujący szczerą chęć realizowania tego rodzaju inicjatyw, niebawem jednak, po przejęciu władzy w Prusach przez Papena, sytuacja uległa całkowitej zmianie: SA znowu maszerowała ulicami Berlina. Był rok 1932.

Do generalnej rozprawy z Wydziałem Literatury doszło dnia 15.II.1933 r. Pretekstu dostarczył faszystom „Pilny apel” do wyborców (5.III.1933 r. miały się odbyć wybory, zresztą ostatnie z udziałem kilku partii), pod którym złożyli m.in. podpisy członkowie Akademii: Henryk Mann i Käthe Kollwitz. Pisarze powagą swych nazwisk poparli skierowane do KPD i SPD wezwanie do wystawienia wspólnych list wyborczych, aby „barbarzyństwo nie mogło zwyciężyć”. Dodajmy, że apel ten był — z nieznacznymi tylko zmianami — powtórzeniem apelu ogłoszonego w 1932 roku przed wyborami do Reichstagu (31 lipca).

W dniu 15.II. na żądanie Bernharda Rusta, mianowanego przez rząd Rzeszy komisarycznym ministrem Kultury w Prusach (pełnił on od roku 1925 odpowiedzialne funkcje w partii faszystowskiej), zwołane zostało nadzwyczajne posiedzenie

Akademii w celu zwolnienia Manna ze stanowiska prezesa Wydziału Literatury, w przeciwnym bowiem razie miało nastąpić rozwiązanie tego Wydziału. Na czele całej Akademii stał wówczas kompozytor i dyrygent, Max von Schillings, całkowicie oddany partii narodowosocjalistycznej.

Według protokołu posiedzenie miało przebieg następujący:

„Prezes wprowadza do Wydziału Muzycznego Akademii nowego członka, pana Buttinga.

Następnie wyjaśnia powód zwolnienia dzisiejszego nadzwyczajnego posiedzenia w pełnym składzie osobowym Akademii: opublikowany w prasie apel o utworzenie zjednoczonego frontu socjaldemokratów i komunistów został podpisany przez dwoje członków Akademii: Käthe Kollwitz i Henryka Manna.

Prezes odczytuje treść apelu. Następnie informuje szczegółowo o swojej dzisiejszej rozmowie z komisarycznym ministrem kultury, Rustem, który zamierza obciążyć odpowiedzialnością za stanowisko zajęte przez dwoje wymienionych członków Akademii całą Akademię i który powziął początkowo myśl o rozwiązaniu Akademii, później zaś Wydziału Literatury. Prezes oświadczył ministrowi, że nie mógłby zaakceptować takich posunięć. Nie może przecie pociągać do odpowiedzialności całej Akademii czy też jej Wydziału za działalność dwojga członków.

Prezes podkreśla poufny charakter dzisiejszego posiedzenia, przyjęty jednogłośnie w myśl § 23 statutu.

W rozmowie z ministrem — zaznaczył dalej prezes — musiał on przyznać, że czyn obojga wymienionych członków nie da się pogodzić z ich pozycją w Akademii. Dlatego też oboje powinni być z Akademii wykluczeni. Prezes obiecał ministrowi zwołać błyskawicznie — o ile to możliwe, jeszcze w tym samym dniu — posiedzenie wszystkich członków Akademii.

O godz. 9,45 przybywa Henryk Mann. Prezes rozmawia z nim najpierw w swoim pokoju służbowym tylko w obecności pana Loerke.

Po odbyciu tej krótkiej osobistej rozmowy prezes otwiera ponownie zebranie i podaje do wiadomości, że pan Henryk Mann składa urząd przewodniczącego Wydziału Literatury i rezygnuje z członkostwa Akademii. Henryk Mann przyznaje, że prezes nie mógł postąpić inaczej, ponieważ musiał myśleć o interesie ogółu. Podjął on tę decyzję, aby dopomóc Akademii w trudnej sytuacji.

Dr Döblin wyraża ubolewanie, że nikt spośród zebranych nie wniósł protestu przeciwko nakłonieniu Henryka Manna do podjęcia tego rodzaju decyzji. Uważa on postępowanie prezesa za niestuszne.

Henryk Mann powinien był tutaj, przed całym zgromadzeniem, wypowiedzieć swobodnie swoje poglądy. Wydział Literatury podejmie decyzje w tej sprawie na oddzielnym posiedzeniu.

Prezes odpowiadając na ten zarzut wyjaśnia, że przeprowadził osobistą rozmowę z Henrykiem Mannem dlatego, by nie stawiać go w wysoce nieprzyjemnej sytuacji.

Dr Döblin domaga się, aby jeszcze raz rozpatrzone sprawę Henryka Manna. Wniosek jego zostaje jednak przez zebranych odrzucony. Prezes podkreśla, że trzeba poprzestać na wyraźnym oświadczeniu pana Henryka Manna, o którym przed chwilą powiadomił zgromadzonych.

Prezes zwrócił się z zapytaniem do obecnych pisarzy, jakie stanowisko zamierzają zająć w tej sprawie.

Dr Fulda stwierdził, że określenie stanowiska obecnych członków Wydziału Literatury jest chwilowo niemożliwe, ponieważ niecały Wydział jest reprezentowany na zebraniu. Członkowie Wydziału wyrażają ubolewanie z powodu ustąpienia Henryka Manna i ustosunkują się do tego faktu na specjalnym posiedzeniu. Henryk Mann uczynił tylko to, do czego uprawniony jest każdy obywatel. Henryk Mann nie popełnił żadnego wykroczenia przeciwko Akademii.

Na wniosek prezesa zebrani podejmują decyzję nie rozsyłania do prasy żadnych informacji na temat spraw omawianych na dzisiejszym posiedzeniu.

Poelzig dziękuje gorąco prezesowi, że zebranie mogło się odbyć bez głosowania, które w gruncie rzeczy byłoby zupełnie niemożliwe, gdyż zadaniem tej instytucji jest sztuka, a nie polityka.

Max v. Schillings
Dr Amersdorffer”

O posiedzeniu tym pisał Henryk Mann w książce *Ein Zeitalter wird besichtigt* krótko, ale dosadnie:

„15 lutego 1933 r. prezes Akademii, muzyk, o którym zresztą wkrótce wszelka pamięć zagięła, polecił mnie wszędzie szukać. Miałem być uroczystie wyrzucony z grona członków wszystkich Wydziałów — sztuk plastycznych, muzyki i literatury. Walne posiedzenie zostało zwołane bez powiadomienia mnie. Minister, przeniesiony z domu wariatów prosto do pałacu na Unter den Linden — urzęduje tam jeszcze, o ile pałac nie runął — w uroczystej przemowie zapewnił studentów, że mnie wyrzuci.

Kiedy mnie znaleziono i kiedy się pokazałem, było to już postanowione. Cóż innego mogli postanowić ci dobrze sytuowani siewcy kultury. Dano im do wyboru: albo wyprą się mnie, albo się ich rozpedzi. Jeden jedyny Wagner wyszedł zamykając za sobą drzwi. Pokazał się dopiero w Turcji, gdzie znalazł zastużone uznanie”.

Mimo tajnego charakteru posiedzenia, informacja o wykluczeniu Manna z Akademii dotarła do dziennikarzy (miał ją podobno ujawnić Döblin) i już nazajutrz cała prasa doniosła o tym wydarzeniu. Niemal wszystkie ukazujące się wówczas dzienniki zaaprobowały „czystkę w Akademii”. „To tak, jakby usunięto tkwiący w oku paproch i nic więcej”, pisał berliński „Lokal-Anzeiger”. „Jeśli działalność Akademii ma być kontynuowana, to jej naczelne władze i prawdziwie niemieccy pisarze muszą dokonać radykalnej zmiany kursu”, pisała „Deutsche Reichszeitung” w dniu 16.II.1933 r. Dzienniki komunistyczne i socjaldemokratyczne obejmował w większości zakaz cenzury (np. wydawanie organu SPD, „Vorwärts”, zostało 15 lutego wstrzymane na przeciąg siedmiu dni). Ta część prasy, która mogłaby oponować, nie miała więc możliwości zabrania głosu. Z tzw. burżuazyjnej prasy jedynie „Vossische Zeitung” z dn. 16.II., „Berliner Tageblatt” i „Frankfurter Zeitung” z 18.II. zaprotestowały przeciwko podjętej w Akademii Sztuk akcji Rusta i Schillingsa.



Drugi, krwawy akt rozprawy nastąpił w nocy z 27 na 28.II., kiedy podpalono Reichstag, a hordy faszystowskie szalały w stolicy Rzeszy, Berlinie, i na całym jej terytorium. Pierwsze uderzenie kierowało się przeciw komunistom, lewicującym intelektualistom i — częściowo — przeciw socjaldemokratom. Ofiarą hitlerowskiej nagonki padli pisarze i intelektualiści, którzy jeszcze nie zdążyli wyemigrować: Carl von Ossietzky (laureat nagrody Nobla z roku 1936), Ludwig Renn, Erich Mühsam, Willy Bredel, Kurt Hiller i wielu innych. Mühsam został zamordowany w lipcu 1934 r. w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu, Ossietzky, wypuszczony z obozu w wyniku nacisku światowej opinii publicznej, zmarł w 1937 r. z wycieńczenia, Willy Bredel i Kurt Hiller zdołali, po wypuszczeniu z obozów, zbiec za granicę.

W dniu 28.II. rząd Hitlera uchwalił „Dekret o ochronie

narodu i państwa”, mocą którego uchylona została ważność podstawowych punktów konstytucji, gwarantujących wolność osobistą i wolność słowa. Dzień później wyszedł „Dekret o zdradzie ojczyzny”, dostarczający faszystom podstawę do zakładania obozów koncentracyjnych, do których zresztą jawnie się przyznawali. W roku 1934 G. Rühle w oficjalnie uznanej dokumentacji powstania III Rzeszy pisał:

„Niezakłócony narodowosocjalistyczny rozwój wymaga przede wszystkim sparaliżowania działalności funkcjonariuszy komunistycznych i socjaldemokratycznych. Zostały utworzone obozy koncentracyjne. Herman Göring trafnie charakteryzuje ówczesną sytuację, pisząc: »Z całą bezwzględnością trzeba było wystąpić przeciwko tym wrogom państwa. Nie wolno zapominać, że w momencie przejścia przez nas władzy — w marcowych wyborach do Reichstagu — jeszcze ponad 6 milionów ludzi wypowiedziało się za komunizmem i około 8 milionów za marksizmem. Z pewnością nie wszyscy ci ludzie byli wrogami państwa. Większość spośród nich, niezliczone masy, to dobrzy Niemcy, omamieni przez widmo tego półobłądnętego światopoglądu, omamieni także dzięki nietrwałości i magajstwu partii mieszczańskich. Tym bardziej należało ratować zbłąkane dusze dla niemieckiej wspólnoty narodowej. Równie konieczne było też bezlitosne postępowanie wobec samych zwoźdźciców, agitatorów i przywódców. Tak więc powstały obozy koncentracyjne, do których najpierw musieliśmy posłać tysiące funkcjonariuszy partii komunistycznej i socjaldemokratycznej. Oczywiście początkowo zdarzały się nadużycia. Oczywiście tu i tam dotknęto także niewinnych. Oczywiście tu i tam bito i popełniano akty brutalności. Ale jeśli wziąć pod uwagę przebieg, wielkość tego wydarzenia, to ta niemiecka rewolucja wolności była najmniej krwawą i najbardziej zdyscyplinowaną spośród wszystkich rewolucji w historii».

W obozach koncentracyjnych, o których rzekomych okrucieństwach krążyły najnieдорzeczniesze żydowskie pogłoski, wielu pomniejszych marksistowskich funkcjonariuszy stało się, dzięki pracy, na nowo dobrymi rodakami. A wiele tysięcy narodowosocjalistyczne państwo mogło już w kilka miesięcy po ich zatrzymaniu zwolnić”.

Kolejna akcja faszystów „porządkujących” życie literackie Rzeszy wymierzona była przeciwko związkowi niemieckich pisarzy (Schutzverband Deutscher Schriftsteller), mającemu w zasadzie charakter związku zawodowego. Założony jeszcze przed pierwszą wojną światową Związek rozwinął

aktywną działalność dopiero w Republice Weimarskiej, kiedy w pierwszych latach istnienia Republiki na jego czele stanęli tak znani pisarze, jak Bernhard Kellermann i Alfred Döblin. W roku 1926 kierownictwo związku objął Theodor Heuss, późniejszy prezydent NRF. Był to rok, kiedy związek przeżywał poważny kryzys, do którego przyczynił się sam Heuss głosząc w parlamencie za ustawą „o ochronie młodzieży przed zgubnym wpływem literatury brukowej i pornograficznej”. Uchwaleniu tej ustawy sprzeciwiało się wielu wybitnych pisarzy niemieckich, upatrując w niej niebezpieczeństwo dla wolności słowa. Przewodnictwo przejęli po nim w związku Walter von Molo, a następnie Arnold Zweig (do marca 1930 r.). W latach tych związek funkcjonował jeszcze jako reprezentant interesów ludzi pióra. Sytuacja zaczęła się radykalnie zmieniać, kiedy do jego zarządu weszli pisarze pravicowi, a nawet faszystujący (należy zaznaczyć, że obok pisarzy i tłumaczy związek zrzeszał również publicystów), udzielający poparcia antydemokratycznym metodom rządzenia. W największym oddziale związku, w oddziale berlińskim, wytworzyła się wówczas silna opozycja. Nowe kierownictwo, dążąc do jej osłabienia, postanowiło wykluczyć ze związku kilkudziesięciu jego członków, wśród których znaleźli się m.in. Brecht, Mühsam (należący do związku od 1912 r.) Johannes R. Becher, Anna Seghers, Weinert, Lukács, Wieland Herzfelde, Ludwig Renn. Próba ta zakończyła się fiaskiem, co jednak nie zlikwidowało rozdzwieku między berlińskim oddziałem i zarządem centralnym. Na początku 1932 r. przewodniczącym związku został nacjonalista i militarysta, Walter Bloem, który w czasie drugiej wojny światowej jako siedemdziesięcioletni starzec zgłosił się na ochotnika do służby w Wehrmachcie. Na stanowisku prezesa Związku Pisarzy Bloem długo nie pozostał — nie poparł bowiem prowadzonej na wielką skalę akcji na rzecz uwolnienia Ossietzky'ego, a w kilka miesięcy później zaatakował Henryka Manna za antyfaszystowskie i antimilitarystyczne wystąpie-

nie na międzynarodowym zjeździe w Amsterdamie. Krytykując Henryka Manna, Bloem powiedział m.in.:

„To jednak, Panie Mann, wydaje się, uszło Pańskiej uwagi, że Michel obudził się i zabiera się do przeprowadzenia w swoim domu gruntownych porządków. (...) Miliony niemieckich kombatantów, którzy dożyli dzisiejszego dnia, a którzy zjednoczeni są w takich związkach, jak np. »Kyffhäuserbund« »Stahlhelm«, czy też w zastępach Hitlera, w sposób jak najbardziej stanowczy protestują przeciwko stwierdzeniu jakoby pisarze, którzy wojnę »zdemaskowali«, którzy odkryli jej »pogardy godne podłoże«, przemawiali w ich imieniu.

(...) Ale kto się w przyszłości odważy drwić z naszych najświętszych, najsilniejszych wspomnień, z dumnej i niewzruszonej wiary »militarysty« i »nacjonalisty« lub kto odważy się je obrażać, ten będzie miał z nami do czynienia. (...) Niemiecki pisarz odmawia zgody na takie reprezentowanie go. Niech Pan idzie sobie do swojej Europy, bo Pan powinien wiedzieć, gdzie jej szukać, ale niech się Pan więcej nie waży chęłpić na międzynarodowych kongresach, że jest Pan przedstawicielem niemieckiej myśli, o której Pan nie ma pojęcia. Niech Pan sobie pisze dla »świata«, ale niech Pan nie marzy o pisaniu dla Niemiec“.

Narodowi socjaliści, jak widać, czuli się już dość pewni zwycięstwa. Nie przypadkiem też Henryk Mann jako jeden z pierwszych został wydalony z „władz literackich”. Po Bloemie prezesem związku pisarzy został Th. Bohner, który w III Rzeszy opublikował kilka książek o potrzebie posiadania przez Niemców kolonii w Afryce. Mimo jego pravicowych poglądów faszystyści nie dokooptowali go w marcu 1933 r. do nowego zarządu. W zarządzie pragnęli widzieć zasłużonych aktywistów takich organizacji, jak „Nationale Arbeitsgemeinschaft” czy funkcjonariuszy aparatu propagandowego.

W dniu 10 marca faszystyści ostatecznie uczynili związek pisarzy swoją organizacją. Cytujemy za Hansem Heinzem Mantau-Sadilim, współpracownikiem utworzonego w trzy dni później ministerstwa propagandy Goebbelsa, a od 1935 roku kierownikiem nowego, narodowosocjalistycznego związku pracowników radia — jego sprawozdanie jest charakterystyczne dla brutalnej szczerości faszystów, którzy od początku

nie kryli, że dla osiągnięcia celu nie będą przebierali w środkach:

„Większa część zarządu zebrała się na poufną dyskusję. Wkroczyliśmy nagle na salę, pozdrowiliśmy zebranych niezwykle uprzejmie i poprosiliśmy najumiętniej, aby łaskawie ustąpili, albowiem bolszewicy podlegacze, pacyfistyczne lumpy i zdrajcy ojczyzny, którym ducha i pieniądze darowała zagranica, nie pasują do nowych Niemiec.

(...) W dziesięć minut później rozpoczęła się wielka czystka w Związku Pisarzy. Błyskawicznie utworzony nowy zarząd wykluczył wszystkich komunistów. Następnie powołano komisję, które miały się zająć wszystkimi nowymi zgłoszeniami, dokładnym przejrzeniem list członkowskich i wszelkimi potrzebnymi skreśleniami.

W ciągu następnych czternastu dni skontrolowano wszystkie karty członkowskie. Każdy członek, który wykroczył przeciwko duchowi niemieckiemu, przeciwko narodowym uczuciom, został usunięty. Wykluczono także wszystkich, co do których można było przyjąć, że nie oddadzą się do dyspozycji nowych Niemiec”.

Akcja oczyszczania Akademii Sztuk z niewygodnych dla faszystów członków kontynuowana była dalej w marcu 1933 r. W dniu 14.III prezes Akademii, Max von Schillings, rozesłał do wszystkich jej członków listy następującej treści:

„Poufne!

Czy, uznając zmienioną sytuację historyczną, jest Pan(i) gotów(a) nadal wszystkie swoje siły oddawać w służbę Pruskiej Akademii Sztuk? Udzielenie pozytywnej odpowiedzi na to pytanie wyklucza publiczną, polityczną działalność skierowaną przeciwko rządowi i zobowiązuje Pana(ią) do lojalnej współpracy w realizacji przypadających Akademii, zgodnie z jej statutem, narodowych i kulturowych zadań w duchu zmienionej sytuacji historycznej.

TAK

NIE

(Niepotrzebne proszę skreślić)
Nazwisko:

Miejscowość i data:”

W wyniku tej „ankiety” i „rasowej selekcji”, do piątego maja z ogólnej liczby około trzydziestu członków wchodzi-

cych w skład Wydziału Literatury, czternastu musiało opuścić Akademię. Wśród nich: Tomasz Mann, Alfred Döblin, Franz Werfel, Leonhard Frank, Bernhard Kellermann, Georg Kaiser, René Schickele, Fritz von Unruh, Jacob Wassermann, Ricarda Huch. Wypada w tym miejscu wspomnieć o ciekawej korespondencji Ricardy Huch z prezesem Schillingsem, która na szczęście zachowała się i dowodnie świadczy o odważnej postawie pisarki. Około 18.III. Ricarda Huch wystosowała następującą odpowiedź do Schillinga na nadesłany jej list, którego treść przedrukowaliśmy powyżej:

„Do Prezesa Akademii Sztuk w Berlinie

W odpowiedzi na nadesłane mi przez Pana pismo z 14 marca pozwalał sobie zakwestionować Pańskie kompetencje do stawiania mi pytania o tak trudnych do przewidzenia konsekwencjach, w związku z czym odmawiam odpowiedzi.

Członkowie Akademii powoływani są — zgodnie z brzmieniem i literą statutu — w uznaniu ich zasług, i nie mają obowiązku składania politycznych deklaracji. Odkąd należę do Akademii, zawsze podkreślałam z naciskiem, aby przy wyborze członków nie kierować się żadnym innym kryterium, jak tylko ich osiągnięciami artystycznymi i walorami ich osobowości. Zasadą tą będę się kierować także w przyszłości.

Ricarda Huch.”

Schillings ku zaskoczeniu Ricardy Huch zinterpretował jej list jako deklarację pozostania w Akademii. Pisarka czuła się więc zmuszona do złożenia wyjaśnień:

„Wielce Szanowny Panie Prezisie, ,

Z Pańskiego listu z 22 marca wnioskuję, że moją odmowę ustosunkowania się do przedłożonego mi pytania zamierza Pan traktować w ten sposób, jak gdybym odpowiedziała „tak”. Owego „tak” nie mogę jednak wypowiedzieć tym bardziej, że w sposób stanowczy sprzeciwiam się różnym podjętym tymczasem działaniom nowego rządu.

Nie wątpi Pan, o tym przekonuje mnie Pański list, że sprawa narodowa leży mi na sercu, ale nie chcę też rezygnować z prawa wolnego głoszania poglądów, a tak by się stało, gdybym złożyła oświadczenie, którego ode mnie oczekiwano. Sądzę, że to stwierdzenie automatycznie wyklucza mnie z Akademii.

Gdybym zresztą pozostała w Akademii, musiałabym (pozwoli Pan, że okraszę ten poważny temat żartem) być przygotowana na zakończenie życia w więzieniu »jako ta, która wkradła się w szeregi narodowego związku.

Ricarda Huch."

Widocznie władzom bardzo zależało na pisarce, bo i ten list nie pociągnął za sobą w konsekwencji skreślenia jej z listy członków Akademii. Ricarda Huch po raz trzeci napisała wówczas do Schillingsa, jasno formułując swoje stanowisko:

„Wielce Szanowny Panie Prezisie,

niech mi będzie wolno podziękować najpierw za Pańskie życzliwe zainteresowanie się sprawą mojego pozostania w Akademii. Zależy mi na tym, aby wyjaśnić Panu, dlaczego nie mogę zadośćuczynić Pańskiemu życzeniu. Fakt, że Niemiec czuje po niemiecku, uważałabym za prawie oczywisty; ale co jest niemieckie i w jaki sposób powinno się stwierdzać niemieckość, na ten temat istnieje wiele zdań. Dla mnie nie jest niemieckością to, co obecny rząd zaleca jako narodowy sposób myślenia. Centralizację, presję, brutalne metody, znieważanie ludzi, którzy myślą inaczej, samochwalstwo uważam za niemieckie i niebezpieczne. Mając odmienne poglądy, tak bardzo odbiegające od tych, które zaleca państwo, uważam za niemożliwe pozostanie w Akademii. Mówi Pan, że deklaracja przedłożona mi przez Akademię nie będzie mi przeszkadzała w wolnym głoszeniu poglądów. Pomijając to, że »lojalna wspólna praca nad przypadającymi Akademii zgodnie ze statutem narodowymi i kulturowymi zadaniami w duchu zmienionej sytuacji historycznej« wymaga jednomyślności z programem rządu, nie znalazłabym takiej gazety ani czasopisma, które by wydrukowały moje opozycyjne sądy. Prawo wolnego wygłaszania poglądów istniałoby tylko w teorii.

Wspomina Pan panów Henryka Manna i doktora Döblina. To prawda, że nie zgadzam się z panem Henrykiem Mannem, z panem Döblinem nie zgadzam się czasami, ale tylko czasami. W każdym bądź razie należałoby życzyć sobie, aby wszyscy Niemcy nie-Żydzi usiłowali w sposób tak sumienny tego, co słuszne, poszukiwać i to, co słuszne czynić, aby byli tak otwarci, uczciwi, zaciwi, jakim go zawsze znajdowałam. Moim zdaniem, wobec nagonki antyżydowskiej postąpił on tak, jak należało postąpić. A że porzucenie przeze mnie Akademii nie jest manifestacją sympatii wobec wymienionych panów, mimo szczególnego poważania i sympatii, jakie żywię dla pana Döblina, o tym będzie wiedział każdy, kto mnie zna, bądź osobiście, bądź z moich książek.

Niniejszym podaję do wiadomości moje wystąpienie z Akademią.
Ricarda Huch."

W maju i czerwcu dokonano przyjęcia nowych członków (byli to oczywiście w większości pisarze faszystowscy) i wyborów nowych władz Akademii. W dokumentacji drogi hitlerowców do dyktatury fakt ten odnotowano w sposób następujący:

„Obecnie należało doprowadzić do końca czystkę w Pruskiej Akademii Literatry, którą zapoczątkowało w lutym usunięcie Henryka Manna. Z bezkompromisową stanowczością pruski minister kultury zarządził, co należy. 7 maja z Pruskiej Akademii Literatry wystąpili: Döblin, Leonhard Frank, Ludwig Fulda, Georg Kaiser, Bernhard Kellermann, Tomasz Mann, Alfred Mombert, Alfons Paquet, Rudolf Pannwitz, René Schickele, Fritz von Unruh, Jakob Wassermann. Na miejsce ustępujących członków weszli, powołani przez ministra kultury, następujący pisarze i poeci: Werner Beumelburg, Hans Friedrich Blunck, Hans Carossa, Peter Dörfler, Paul Ernst, Friedrich Griese, Hans Johst, Hans Grimm, Erwin Guido Kolbenheyer, Agnes Miegel, Emil Strauss, Will Vesper, Wilhelm Schäfer i Bories von Münchhausen.

O tym, że narodowy socjalista Rust w swojej decyzji w żadnym wypadku nie kierował się małodusznością, świadczy najdobitniej fakt pozostania w Akademii szeregu takich pisarzy, jak Gerhart Hauptmann, Ina Seidel, Hermann Bahr, Max Halbe, Schmidt Bonny i inni, których trudno uważać za zwolenników narodowego socjalizmu, przede wszystkim jednak zasłużone honorowe miejsce przyznano twórcom niemieckiego ducha, zagłuszonym dotychczas przez rażące reklamarskie bębienie żydowskie. Kupujący czy wypożyczający książki szybko mogli dostrzec, że istnieje obfitość naturalnych i głębokich talentów o autentycznym niemieckim charakterze”.

Wśród pisarzy, którzy pozostali w Akademii, tylko nieliczni mieli głośne nazwiska: Hans Johst, kiedyś słynny ekspresjonista, teraz oddany sługa faszystów, nowy prezes Akademii, a później Związku Pisarzy Rzeszy; Max Halbe, najwybitniejszy obok Hauptmanna naturalista, uprawiający później tzw. literaturę ojczyznianą; Oskar Loerke, będący w zasadzie przeciwnikiem faszyzmu, pozostał w niej dla ratowania wydawnictwa Fischera, gdzie był redaktorem; Walter von Molo, twórca kilku znanych historycznych i biograficznych powieści (m.in. o Fryderyku Schillerze), był prezesem Wydziału Literatury Akademii Sztuk przed Henrykiem

Mannem (1928—1931), swoją ówczesną sytuację określił terminem „emigracji wewnętrznej” (podważonym zresztą mocno przez Tomasza Manna w odpowiedzi na adresowany do niego list otwarty Mola z 1945 roku, w którym ten wezwał twórcę *Doktora Faustusa* do powrotu do Niemiec); Ina Seidel, pisarka, która z całą naiwnością oddała się fascynacji ruchem hitlerowskim i osobowością samego Führera, dedykując mu jeszcze w roku 1941 hymn pochwalny, a po wojnie w sposób równie naiwny odzegnała się od hitleryzmu; Wilhelm Scholz, pierwszy prezes Wydziału Literatury (1926—1928), bardzo płodny konserwatywny pisarz, który podobnie jak Johst i Binding w otwartym liście do Romaina Rollanda bronił „nowego porządku”, autor wierszy opiewających Hitlera i misję narodu niemieckiego; wreszcie znakomici przedstawiciele niemieckiej literatury: Genhart Hauptmann i Gottfried Benn. Ich stosunkowi do Trzeciej Rzeszy wypada, jak mi się wydaje, poświęcić chwilę osobnej refleksji.

Hauptmann, w okresie Republiki Weimarskiej uznany za najwybitniejszego twórcę, nie opuścił kraju po dojściu Hitlera do władzy, co wydaje się całkiem zrozumiałe nawet z uwagi na jego już wówczas podeszłe lata (ur. 1862 r.), trudniej natomiast pogodzić się z faktem, że ten wielkiej przecież miary człowiek wywiesił faszystowską flagę w dniu 1 maja 1933 r. W dzienniku Tomasza Manna możemy wyczytać, że pragnął zapewne nadal cieszyć się uznaniem oficjalnej władzy i świętować osiemdziesiąte urodziny tak, jak świętował siedemdziesiąte. Faszyci jednak nie zamierzali okazywać względów pisarzowi, którym chlubiła się Republika. Mogli go co najwyżej tolerować i tak też w stosunku do niego postępowali (choć nie brakło i ataków na pisarza, bo np. satyryczne pismo faszystowskie „Die Brennessel” wyśmiewało go w „otwartym liście” pisząc, że nauczył się wyciągać rękę w geście pozdrawiającym Hitlera; list ten został przedrukowany w „Deutsche Kultur-Wacht” we wrześniu 1933 r.). Teatrom wolno było grywać sztuki Hauptmanna, natomiast

nie pozwolono dużo o nim pisać, zwłaszcza na temat jego światopoglądu. Hauptmann, aczkolwiek pod koniec lat trzydziestych dość jasno zdawał sobie sprawę z popełnionych błędów, nie wyciągnął z tego stanowczych konsekwencji; zaпиты w roku 1938 przez pewnego węgierskiego pisarza, dlaczego nie opuszcza Niemiec, miał podobno odpowiedzieć, że nie ma odwagi.

Sprawa Benn jest jeszcze bardziej drastyczna. Był on właściwie jedynym prawdziwie wybitnym poetą, który całkowicie deklarował się po stronie reżimu faszystowskiego w roku 1933 i w pierwszym półroczu 1934 roku. Swemu poparciu dla nazistów dawał Benn niejednokrotnie publiczny wyraz, m.in. w wygłoszonym przez radio 24.III.1933 r. słynnym przemówieniu „Der neue Staat und die Intellektuellen” (*Nowe państwo a intelektualiści*). Tekst tego przemówienia ukazał się następnego dnia w „Berliner Börsenblatt”. Nikt nie potrafił sugestywniej niż ten wielki poeta wyrażać antyhumanitarnych idei faszyzmu. Wystąpienia jego były tym groźniejsze, że mogły przełamać opory tych Niemców, którzy dotąd nie mieli najwyższego mniemania o intelektualnym poziomie nowych władz, i pozyskać ich dla sprawy narodowego socjalizmu.

Benn oddaje hołd nowemu państwu, powstałemu „wbrew woli intelektualistów”, którzy zawsze gotowi byli poprzeć ruch lewicowy, co Benn jest skłonny poczytać im za największy błąd. Tu nie sprawy kultury są, jak sądzi, najważniejsze, lecz totalność, oddanie swej osobowości mitycznemu kolektywowi, zadeklarowanie się za czynem. Nowe państwo to oczywiście państwo narodowe, państwo władzy bezwzględnej, w którym działać będzie „nowy typ biologiczny”. Wolność słowa, wolność myśli stają się dla niego nagle pustymi postulatami. Wychodząc od stwierdzenia, że wszystkie zdobycze kultury wytworzone zostały w państwach niewolników, powiada, że trzeba wyrzec się owych wolności dla państwa, innymi słowy — aczkolwiek Benn tego *expressis verbis* nie mówi — trzeba stać się niewolnikiem. Nie brak

w tej rozprawie oskarżeń rzuconych pod adresem intelektualistów, którzy odmówili swego poparcia Trzeciej Rzeszy. Benn pomawia o egoizm i prywatę tych wszystkich, którzy zabiegali — jak się wyraża — o wille i samochody, a w momencie powstawania nowego państwa po prostu uciekli za granicę.

A oto fragmenty słynnego tekstu Benna:

„Czytałem niedawno w gazecie, że w pokoju przyjęć jednego z nowych pruskich ministerstw umieszczono wywieszkę następującej treści: »Nie przychodzi się w sprawach prywatnych tam, gdzie powstaje nowe państwo«. Doskonale! Znaczyliby to, że gdzie głos ma historia, ludzie powinni milczeć. Oto konkretna formuła nowej idei państwa. Jeśli odnieść tę formułę do naszego tematu, usprawiedliwione będzie pytanie, dlaczego intelektualiści nie są za nowym państwem? Bo powstało ono wbrew im. Nowe państwo powstało wbrew intelektualistom. Wszyscy, którzy się w ostatnim dziesięcioleciu zaliczali do intelektualistów, zwalczali powstanie tego państwa. Ci, którzy z zachwytem witali każde rewolucyjne uderzenie ze strony marksizmu, którzy przypisywali mu wartość objawienia, którzy byli gotowi udzielić mu duchowego poparcia, poczytywali sobie za intelektualny honor uważać rewolucję narodową za niemoralną, dziką, skierowaną przeciwko sensowi historii. Cóż za przedziwna historia i cóż za osobliwy sens widzieć w problemach wynagrodzenia treść wszelkich ludzkich zmagañ. Cóż za defekt intelektualny, co za moralne manko, można już w tym miejscu dodać, że w wielkim uczuciu ofiarności i zatracenia własnego Ja w totalności, państwie, rasie, immanentności, w odwrócie od ekonomicznego do mitycznego kolektywu, w tym wszystkim spoza spraw kultury nie widzi się głębi antropologicznej. Nie o tych intelektualistach i nie w ich imieniu przemawiam.

Przemawiam w imieniu myśli i tych, którzy jej hołdują. Czy jest dla myśli dzisiejsza sytuacja? Nie dla pożałowania godnej myśli, która dość już żerowała na spuściznie narodu, dla której bohater był słaby a ofiara nikczemna, lecz dla myśli niezbędnej, tej nadziemskiej potęgi, twardszej niż stal, jaśniejszej niż światło, zawsze w promieniu wielkości, zawsze w aureoli czynu transcendentnego, czym dla tej myśli jest terazniejszość? Czy może dla niej czymś być?

Niewątpliwie istniały w historii momenty, w których nawet niewzruszony politycznymi namiętnościami, rygorystycznie myślący duch nie potrafił rozpoznać znamienia epoki, z jej istoty uczynić myśli — momenty, w których rzeczywiście nadchodził czas zmierzchu i rzucał cienia, aby dopiero z oddali ukazać zarys tego, co przemijające;

i niewątpliwie nasza terazniejszość znalazła się obecnie w tak jasnym historycznym położeniu, że duch może swobodnie ślać spojrzenie w przyszłość i stawiać prognozy mające już niejako walory poznania czerpiącego z prawidowości. Widzimy, że sens i propaganda internacjonalizmu, zarówno socjalistycznego, jak i przemysłowego, nie mogą wzbudzić w nas żadnego wyobrażenia, żadnego uczucia, które by na jakiegokolwiek płaszczyźnie potrafiły pokonać ideę państwa, a jeśli już państwo, to państwo autorytetu, to państwo narodowe.

Kto myśli historycznie, kto jest politykiem, ten operuje pojęciem państwa. (...)

W rozprawach Schillera znajdujemy np. godne uwagi wypowiedzi o tym, jak to od końca średniowiecza przygotowywano się do ofiarowania ojczyzny wyższemu idolowi rozumu; mimo wypowiedzianego przez niego, i odtąd wciąż powtarzanego przekonania, że chodzi tu może o przyszłego, większego idola, stoimy przed faktem doskonałego, historycznie logicznego, żywionego prawdziwymi ludzkimi treściami zwycięstwa idei narodowej.

Intelektualiści odpowiedzą, iż jest to zwycięstwo podłości, że szlachetniejsze duchy znaleźć można zawsze po innej stronie, po stronie Schillera. Ale cóż tu mają znaczyć miary szlachetności i podłości? Dla człowieka myśli istnieje od czasów Nietzschego jedna tylko miara historycznej autentyczności: jej pojawienie się jako nowy wariant typologiczny, jako realne konstytutywne novum, krótko mówiąc, jako nowy typ, a ten, trzeba stwierdzić, pojawił się. Majorytet typologiczny — któż mógłby wątpić, że istnieje, że istnieje po stronie nowego państwa? Istnieje w sensie negatywnym i pozytywnym: w tym, co zwalcza, i w tym, co tworzy. Prawdziwy, nowy historyczny ruch jest rzeczywistością, jego ekspresja, jego język, prawo zaczynają się rozwijać, typologicznie nie jest on ani dobry, ani zły, on rozpoczyna swój byt. Rozpoczyna swój byt — i ten byt zaczynają dławić wszystkie ginące pokolenia — kultura jest zagrożona, ideały są zagrożone, prawo, ludzkość są zagrożone — pobrzmiwa jak echo: z Lombardii, z Węgier, z Wersalu, tak ono już pobrzmiwało, kiedy nadchodził Galowie, Goci, Sankiuloci. Rozpoczyna swój byt, i wszystko, co delikatne, wyczulone — rzuca się przeciwko niemu; ale to sama historia pozbawia te napaści siły, jej istota, która nigdy nie działa demokratycznie. Historia nie działa nigdy demokratycznie, lecz żywiołowo, zawsze w punktach zurotnych działa żywiołowo. Nie dopuszcza do żadnych uzgodnień, lecz foruje nowy typ biologiczny, nie stosuje innej metody, tu jesteś, a więc działaj i cierp, wbudowuj ideę twego pokolenia, twego rodzaju w tworzywo czasu, nie ustępuj, działaj i cierp, jak rozkazuje prawo życia. A kiedy

nowy typ biologiczny zaczyna działać, wkrótce ulegną przesunięciu pewne stosunki społeczne, niektóre pierwsze rzędy zostaną wymiecione, niektóre dobra duchowe w mniejszym będą poważaniu, ale najczęściej przeciwieństwo tego rodzaju ruchy przeciwko społeczeństwu, które już w ogóle nie tworzy żadnych miar, nie ustanawia już żadnego transcendentnego prawa, a czyż takie społeczeństwo zastuguje na coś innego, jak jarzmo i narzucenie nowych zasad? (...)

Dosyć już, powiedziała sobie młodzież, słuchaliśmy tego: wolność ducha — wolność rozkładu — ideologia antybohaterska! Ale człowiek chce być wielki, to jest jego wielkością; do absolutu dąży cały jego wysiłek wewnętrzny. I tak podniosła się ta młodzież spod gładkich przepaści i fetyszów pesymistycznej już inteligencji i w niestychanym, niezrozumiałym dla sześćdziesięciolatków szczęściu pokolenia parła naprzód w sferę działania, dążyła do tego, co jeszcze nie przemyślane do końca, irracjonalne, i zbroiła się: »zakrzywiony tuk jest moją radością« i składa się w ofierze, jak każde wewnętrzne prawo, i jeśli symbolem historycznym ery liberalnej były palace, które szturmowano, pełne bibelotów, Tuileries, i pałac balów, to symbolem tej stał się wąwóz: Termopile.

Wielka, duchem wiedzona młodzieży, myśl, ta niezębna myśl, naziemska potęga świata, twardsza niż stal, jaśniejsza niż światło, tobie przyznaje rację; inteligencja, która spoglądała za tobą z przekleństwem na ustach, była u kresu; cóż mogła zostawić ci w spadku; sama żyła przeciwieństwem z resztek i produktów własnego rozkładu. Wyduzione treści, dziwaczne formy, a nad tym żalosna mieszczańsko-kapitalistyczna draperia. Willa, na tym kończyły się jej wyobrażenia, mercedes, do tego sprowadzała się wartość jej największych dążeń. Nie patrz na sprzeciw i słowa, nie daj się pojednać, zamknij bramy, buduj państwo!"

30.IV Benn opublikował w „Berliner Tageblatt” z okazji pierwszego maja artykuł sławiący „niemiecką” pracę. Wszystko to wzbudzało zaniepokojenie niemieckiej emigracji, nie znajdującej wytłumaczenia dla zmienionego stanowiska poety, który jeszcze w roku 1931 uznawał w Henryku Mannie jednego z największych pisarzy XX wieku (choć jego interpretacja twórczości i języka Manna była nieporozumieniem), a teraz był gotów negocjować samego siebie i własną umysłowość. Wyrazem tego zaniepokojenia był list Klaus Manna wysłany do Benna z emigracji dnia 9.V.1933 r. W odpowiedzi na ów list Benn oświadczył z butą, że stoi po stronie tych, którym Europa odmawia podobno uznania, a czyni to dlatego, że Hitler ma za sobą naród, nie stado baranów, jak sobie wyobraża Klaus Mann.

„Niechże Pan porówna — pisał — geniusz Hitlera i Napoleona. Napoleon był bez wątpienia genialną indywidualnością. Cóż by nakazywało Francji jako narodowi iść na podobieństwo piramid i wprowadzać swe wojsko na tereny Europy, jeśli nie potężny militarny geniusz. Dzisiaj wszakże na tym miejscu może Pan zawsze postyszyć pytanie: czy to Hitler stworzył ruch, czy ruch stworzył jego? Osobliwe to pytanie, nie sposób przecie widzieć jedno i drugie z osobna, albowiem chodzi o niepodzielną całość. Ma tu miejsce naprawdę owa magiczna koincydencja sprawy indywidualnej i sprawy ogólnej...”

List do Klaus Manna opublikował Benn jeszcze w roku 1933 w zbiorze esejów *Der neue Staat und die Intellektuellen*, zawierającym również wyżej zacytowany tekst jego radiowego przemówienia.

Na największe bezdroża zaprowadził Benna esej pt. *Geist und Seele künftiger Geschlechter*, w którym opowiadał się za ustawą z dn. 14.7.33 r. o zapobieganiu wydawania na świat potomstwa obciążonego chorobami dziedzicznymi, będącą pierwszym aktem legalizującym eutanazję. Esej ten ukazał się w lipcu tegoż roku.

Dopiero po 30 czerwca 1934 roku Benn zaczął sobie zdawać sprawę z tego, że popełnił błąd udzielając poparcia reżimowi faszystowskiemu. Ale jest to już odrębna kwestia, do której warto byłoby wrócić przy innej okazji.

Mniej szczęścia hitlerowcy mieli z parą pisarzy, którzy wydawali się niejako predysponowani do współdziałania z ruchem faszystowskim i właściwie pomogli stworzyć ideologię Trzeciej Rzeszy; mam tu na myśli Stefana George i Ernsta Jüngera.

Stefan George, piewca Nowej Rzeszy pod przywództwem wielkiego führera, zwolennik kultu władzy, udał się w 33-cim roku do Szwajcarii, nie chcąc mieć nic do czynienia z hitlerowcami, którzy okazali się niezdolni spełnić jego wyobrażenia o Nowej Rzeszy. Nie obchodziły go usilne starania faszystów, zabiegających o pozyskanie jego nazwiska dla polityki narodowego socjalizmu, nie wziął udziału w zorganizowanych przez nich uroczystościach z okazji jego 65-tych urodzin, na cztery dni przedtem wyjeżdżając do Szwajcarii, zbył również

milczeniem ufundowanie nagrody im. Stefana George. Zachowywał się absolutnie powściągliwie aż do śmierci, która nastąpiła w grudniu tegoż roku.

Inne problemy mieli faszyci z Ernstem Jüngerem, autorem książek gloryfikujących wojnę, głosicielem idei państwa jako organizacji militarnej. W poglądach Jüngera „żołnierz” ucieleśniał sobą etos prawdziwej męskości. Państwo faszystowskie jako takie w zasadzie spełniało jego ideały, toteż hitlerowcy byli przekonani, że Jünger będzie zaszczycony, gdy zaproponują mu członkostwo Akademii Sztuk. Ku ich zaskoczeniu Jünger odmówił tłumacząc, że nie widzi w Akademii właściwego miejsca dla takiego jak on „żołnierza”.

„Do Niemieckiej Akademii Literatury.

Berlin

Mam zaszczyt donieść Panu, że nie mogę przyjąć wyboru do Niemieckiej Akademii Literatury. Specyfika mojej pracy leży w jej głównie wojskowym charakterze, któremu nie chcę wplacać akademickimi powiązaniem. Poczytuję sobie za szczególny obowiązek dawać wyraz poglądom o stosunku między uzbrojeniem a kulturą — wyłożonym w 59 rozdziale mojej pracy o »Robotniku« — również poprzez postawę osobistą. Dlatego proszę Pana, aby traktował Pan moją odmowę jako ofiarę, do której zobowiązuje mnie moje zaangażowanie w sprawy wojskowości, datujące się od 1914 roku.

Z zapewnieniem, że w samym fakcie, iż Pan o mnie pomyślał, dostrzegam duże wyróżnienie

*szczerze Panu oddany
Ernst Jünger.”*

Z tych samych względów odmówił współpracy z czasopismami i gazetami, m.in. z organem NSDAP „Völkischer Beobachter”. Wydaje się jednak, że postąpił tak w gruncie rzeczy dlatego, że zbyt dobrze zdawał sobie sprawę, z kim podejmowałby współpracę. Jego wyobrażenia o narodowym „pruskim socjalizmie” (pojęcie Jüngera) odbiegały dosyć zasadniczo od rzeczywistości w powstającym na jego oczach państwie faszystowskim. W 1939 r. Jünger zgłosił się do armii i od tego czasu dokonuje się w nim dziwna przemiana. Znalazłszy się w Paryżu nawiązuje w 1944 r. kontakt z grupą



konspiracyjną. Zostaje wówczas odwołany z Francji i musi opuścić szeregi armii. Otrzymuje nominację na dowódcę jednostki tzw. „Volkssturmu”. Jünger miał podobno w 1960 r. nawet z dumą oświadczyć, że w jego okręgu nikt nie wywiesił białej flagi. Podobnie jak w przypadku Benna, światopoglądowi, pisarstwu i postawie Jüngera należałoby jednak poświęcić osobny artykuł.



Powróćmy do bezpośrednich działań, podejmowanych przez władze faszystowskie w obrębie kultury i literatury na początku istnienia III Rzeszy. Kolejną, zakrojoną na szeroką skalę akcją, było oczyszczenie wszystkich bibliotek publicznych i prywatnych z literatury „szkodliwej” i „zabronionej”. Już w pierwszych dniach kwietnia ogłoszono tzw. czarne i białe listy książek zakazanych i zalecanych. Jednocześnie hitlerowcy przystąpili do olbrzymiej kampanii „przeciw duchowi nie-niemieckiemu”, która miała się zakończyć paleniem książek znajdujących się na indeksie. Do udziału w tej kampanii zmobilizowano młodzież, zwłaszcza studentów, (nastawionych wówczas w większości nacjonalistycznie). W kwietniu ukazała się w faszystowskim piśmie, „Deutsche Kultur-Wacht” deklaracja opatrzona tytułem: „Przeciw duchowi nie-niemieckiemu”, w której zapowiedziano palenie książek w dniu 10 maja. Miała ona treść następującą:

„Niemieccy studenci (Główny Urząd Prasy i Propagandy) organizują w dniach od 12 kwietnia do 10 maja 1933 roku kampanię propagandową pod nazwą »przeciw duchowi nie-niemieckiemu«.

Duch żydowski, w sposób niepohamowany panoszący się na całym świecie, a także w piśmiennictwie niemieckim, musi być — podobnie jak wszelki liberalizm — wytepiiony. Studenci niemieccy nie chcą ograniczyć się do czczych protestów; pragną oni uświadomienia wartości tkwiących we własnym narodzie. Znajduje to jasny wyraz w 12-tu tezach Związku Niemieckich Studentów, które zostaną ogłoszone na plakatach od 13 kwietnia:

1. Język i piśmiennictwo tkwią korzeniami w narodzie. Naród niemiecki

ponosi odpowiedzialność za to, żeby jego sprawy były w języku i piśmiennictwie wyrażane w sposób czysty i niesfalszowany.

2. Pomiędzy piśmiennictwem i niemieckością istnieje dzisiaj rażąca przepaść. Stan taki jest hańbą.

3. Czystość języka i piśmiennictwa zależy od Ciebie. Naród przekazał Ci język, abyś go wiernie strzegł.

4. Naszym najniebezpieczniejszym wrogiem jest Żyd i ten, kto daje mu postuch.

5. Żyd umie myśleć tylko po żydowsku. Jeśli pisze po niemiecku, kłamie. Niemiec, który pisze po niemiecku, ale po niemiecku nie myśli, jest zdrajcą. Student, który mówi i pisze po niemiecku, ale po niemiecku nie myśli, jest oprócz tego bezmyślny i niewierny swojemu zadaniu.

6. Chcemy wytepić kłamstwo, chcemy napiętnować zdradę, nie chcemy, aby studia dawały pole do działania bezmyślności, lecz były miejscem dyscypliny i wychowania politycznego.

7. Będziemy uważać Żyda za element obcy i chcemy poważnie traktować niemieckość. Dlatego domagamy się od cenzury: niech dzieła żydowskie ukazują się w języku hebrajskim. Jeżeli ukazują się po niemiecku, należy je klasyfikować jako tłumaczenia. Należy w sposób jak najsurowszy przeciwstawiać się nadużywaniu języka niemieckiego. Język niemiecki jest wyłącznie do dyspozycji Niemców. Duch nie-niemiecki zostanie wytepiiony w bibliotekach publicznych.

8. Żądamy od niemieckiego studenta woli oraz umiejętności samodzielnego myślenia i decydowania.

9. Żądamy od niemieckiego studenta woli i zdolności do utrzymania w czystości języka niemieckiego.

10. Żądamy od niemieckiego studenta woli i umiejętności przewyższania żydowskiego intelektualizmu i związanych z nim liberalnych zjawisk upadku w niemieckim życiu umysłowym.

11. Żądamy selekcji studentów i profesorów wedle zasad myślenia w duchu niemieckim.

12. Żądamy takiej szkoły wyższej, która byłaby ostoją niemieckości i miejscem walki zasilanej potęgą ducha niemieckiego.

Na początku trzeciego tygodnia zaplanowanej na miesiąc powszechnej akcji zajmujemy się publicznie zbieraniem destrukcyjnego piśmiennictwa, przeciwko któremu zwróci się najpierw walka studentów. Każdy student oczyści swoją bibliotekę ze wszystkiego, co nie-niemieckie i co się tam przez jego bezmyślność dostało; każdy student przejrzy księgozbiory swoich znajomych; studenci zajmą się oczyszczeniem publicznych bibliotek, które nie mogą służyć za zbiornice wszelkiego piśmiennictwa.

We wszystkich szkołach wyższych piśmiennictwo destrukcyjne zostanie 10 maja 1933 roku wydane na pastwę ognia. Oficjalne podanie

miejsz zbiorczych, które znajdować się będą we wszystkich większych miejscowościach, nastąpi na początku akcji."

Zgodnie z planem w dniu 10 i 11-tego maja odbyło się słynne palenie książek we wszystkich ośrodkach uniwersyteckich. Wielka ta akcja zaczęła się w Berlinie odczytem inauguracyjnym profesora dra Alfreda Baeumlera pt.: „Szkoła wyższa, nauka i państwo”. W roku 1926 zwrócił on na siebie uwagę niemieckich intelektualistów jako autor wstępu do wyboru pism Bachofena. Tomasz Mann po opublikowaniu drukiem tego tomu napisał w dzienniku paryskim, że wstęp jest ciekawy, „głęboki i wspaniały”, kto zna przedmiot, nie pozostanie obojętny, ale choć nie skąpił słów uznania Baeumlerowi, zauważył zarazem niebezpieczny charakter jego interpretacji, próby rehabilitacji Görresa, prehistorycznych, ciemnych „sił macierzystych” w romantyzmie jenajskim. Mann nie bez racji widzi już w tym momencie w Baeumlerze rzecznika faszystów, „rewolucji narodowosocjalistycznej”, kiedy analizuje jego twierdzenie, że Nietzsche był jeszcze zbyt wielkim zwolennikiem humanizmu, aby osiągnąć „głęboką jenajskiego romantyzmu, jego mitu ziemi, narodu, prażródła i śmierci”. W formie o wiele bardziej uproszczonej wyłożył Baeumler swoje poglądy w książce *Bachofen und Nietzsche* (1929). W tym samym roku Mann znowu powrócił do Baeumlera w eseju *Die Stellung Freuds in der modernen Geistesgeschichte* (*Pozycja Freuda we współczesnej historii ducha*), w którym pisał m.in.:

„Czy nie zdarzyło się tak, że edytor książki »Mutterrecht« w upojeniu miarę Bachofena zaczął przykładać do Nietzschego? Otóż taka próba zmierzenia czegoś znacznie większego czymś, co jest niewątpliwie duże, ale bez porównania mniejsze, jest tak absurdalna, że ośmielam się mówić o sposobie mierzenia nad miarę i bez miary”.

Baeumler w tym czasie oddawał usługi partii faszystowskiej, współkierując wychowaniem światopoglądowym. Z tej

racji przypadł mu w udziale wątpliwy zaszczyt wygłoszenia odczytu, którym nie tylko inaugurował swoją działalność jako profesor zwyczajny na Uniwersytecie Berlińskim (zawdzięczając nominację na profesora nowej władzy), ale i nową politykę w dziedzinie nauk. Motywując akcję palenia książek Baeumler powiedział m.in.:

„Wyruszycie za chwilę, aby spalić książki, w których obcy nam duch postugiwał się niemieckim słowem, by nas zwalczać. Na stosie, który wzniesiecie, nie będą pionąc heretycy. Przeciwnik polityczny nie jest heretykiem, stajemy przeciw niemu do walki i dany mu będzie zaszczyt walki. To, czego się dziś wyzbywamy, to trucizny, które nagromadziły się w czasach fałszywej tolerancji. Zadaniem naszym jest umocnić w sobie ducha niemieckiego na tyle, by takie substancje nie mogły się nagromadzić”.

(cyt. za Stanisławem Tyrowiczem: *Światło wiedzy zdeprawowanej*, Poznań, Instytut Zachodni 1970, str. 124).

O dalszym przebiegu tej akcji dowiadujemy się z „Generalanzeiger für Bonn und Umgebung” z dnia 11.V.1933 r.:

„Kiedy profesor Baeumler zakończył pierwszy, entuzjastycznie przez studentów przyjęty wykład na uniwersytecie, młodzież — przeważnie w brunatnych koszulach — zebrała się na placu Hegla. Cand. phil Fritz Hipper, okręgowy szef Narodowosocjalistycznego Związku Studentów Niemieckich, wygłosił przed Domem Studenta krótkie przemówienie, po czym auta załadowane książkami przeznaczonymi do spalenia wyruszyły pod eskortą studentów w drogę. Demonstrujący studenci przemaszzerowali z pochodniami i śpiewami ulicami w kierunku Bramy Brandenburskiej przez Aleję pod Lipami na Plac Opery.

O godz. 23,00 pochód studentów w brunatnych koszulach i strojach korporantów, na którego czele maszerował nowo mianowany profesor zwyczajny pedagogiki politycznej w Berlinie, Alfred Baeumler, przybył na Plac Opery. Sformowano szyki na olbrzymim placu i rzucono pochodnie na wzniesiony pośrodku stos. Od stosu na Placu Opery aż do samochodów, którymi dowieziono nie-niemieckie książki, studenci utworzyli długi szpaler i podając je sobie z ręki do ręki rzucali na pastwę ognia. O godz. 23,20 wśród radosnych okrzyków tłumu wrzucono w płomienie pierwsze egzemplarze z ogólnej liczby ponad 20 tys. książek. Ich spalenie dzisiaj na stosie jest aktem symbolicznym”.

„Podczas palenia książek kapele SA i SS grały patriotyczne pieśni i marsze. Umilkły, gdy dziewięciu przedstawicieli niemieckich studentów, którym przydzielono dzieła z określonych dziedzin, wydało na pastwę płomieni książki wyrażające nie-niemieckiego ducha, wznosząc przy tym znamienne okrzyki.

Pierwszy okrzyk: Precz z walką klasową i materializmem! Jesteśmy za wspólnotą narodową i idealistyczną postawą życiową! Przekazują płomieniom pisma Marksa i Kautsky'ego.

Drugi okrzyk: Precz z dekadencją i upadkiem moralnym! Jesteśmy za dyscypliną i obyczajnością w rodzinie i państwie! Przekazują płomieniom pisma Henryka Manna, Ernsta Glaesera i Ericha Kästnera.

Trzeci okrzyk: Precz z nikczemnością myśli i zdradą polityczną! Jesteśmy za poświęceniem się dla dobra narodu i państwa! Przekazują płomieniom pisma Fryderyka Wilhelma Förstera.

Czwarty okrzyk: Precz z rozgrzebywaniem duszy i przecenianiem instynktownych popędów! Jesteśmy za szlachetnością duszy ludzkiej! Przekazują płomieniom pisma Zygmunta Freuda.

Piąty okrzyk: Precz z fałszowaniem naszej historii i poniżaniem jej wielkich postaci! Jesteśmy za głębokim szacunkiem dla naszej przeszłości! Przekazują płomieniom pisma Emila Ludwiga i Wernera Hagemanna.

Szesty okrzyk: Precz z antynarodowym dziennikarstwem, naznaczonym demokratyczno-żydowskim piętnem! Jesteśmy za odpowiedzialną i świadomą współpracą w dziele narodowej odbudowy! Przekazują płomieniom pisma Theodora Wolffa i Georga Bernharda.

Siodmy okrzyk: Precz z literacką zdradą żołnierza z (pierwszej) wojny światowej! Jesteśmy za wychowaniem narodu w duchu prawdomówności! Przekazują płomieniom pisma Ericha Marii Remarque'a.

Ósmy okrzyk: Precz z zarozumiałym szpeceniem naszego języka! Jesteśmy za pielęgnowaniem najcenniejszego skarbu naszego narodu! Przekazują płomieniom pisma Alfreda Kerra.

Dziewiąty okrzyk: Precz z bezczelnością i zarozumiałością! Jesteśmy za respektowaniem i poszanowaniem nieśmiertelnego ducha narodu niemieckiego! Pochłońcie, płomienie, także pisma Tucholsky'ego i Osietzky'ego”.

Na zakończenie auto da fé „uświecił” swoim przemówieniem Goebbels.



„Wszystko, co „szkodliwe”, co niezgodne z systemem faszystowskim, zostało więc usunięte, można było przejść do wyboru nowych władz i realizowania własnego programu. Zarówno w Związku Pisarzy jak i w Akademii pierwsze zebrania po „czystce” odbyły się latem 1933 r. Oto doskonałe sprawozdania Ericha Kästnera (za III Rzeszy tylko jego Emil nie był na cenzurowanym) o pierwszym wyborczym posiedzeniu Związku Pisarzy.

„Przewodniczył Theodor von Zobeltitz, przedstawiciel starej gwardii. Członkowie partii DNVP zgłosili wniosek dotyczący wyborów, który w porozumieniu z zarządzeniem poruszał sprawę liczby ich członków w zarządzie. Przedstawiciele partii narodowosocjalistycznej odrzucili szorstko tę propozycję i przedłożyli swoją własną. Zauważyli przy tym niezbyt delikatnie, że jest ona obowiązująca. Baron von Grote wstał i energicznie zażądał demokratycznych metod. Wulf, Bley, Hadamowski i inni władający piórem stronnicy totalitarnego systemu sprzeciwiali się głośno. Stary von Zobeltitz usiłował pośredniczyć niczym wielki marszałek dworu. Wytrwali wichrzyciele zebrani ożywił się jeszcze bardziej. Jeden z nich, obrażony, wskazał, że dwaj przedstawiciele reakcji, Hans Martin Elster i Edgar von Schmidt-Pauli, zostali wspaniałomyślnie wpisani na brunatną listę. Teraz debata stała się jeszcze bardziej osobliwa. Mówcy konserwatywni zdecydowanie zabronili nazywać przedstawicielami zdrajców ich idei, dwóch dezertersów. Elster nie nosił w czasach Republiki swoich orderów. Pod adresem Schmidta-Pauli padały jeszcze cięższe zarzuty. Roilo się od słów niecenzuralnych. Zobeltitz poprosił o spokój. Schmidt-Pauli powstrzymał się od śmiechu. Ktoś z grupy Deutschnationale wyskoczył z jeszcze jedną prowokacją i — gdy nic nie pomagało — krzyczał z oburzeniem i wściekłością: »Jestem do pańskiej dyspozycji!« Zobeltitz błagał o spokój. SA-mani śmieli się dziko i serdecznie. Schmidt-Pauli oświadczył, że pojedynkuje się tylko wtedy, gdy mu to odpowiada. Grupa barona von Grote zerwała się oburzona tymi złośliwościami i kompletnym brakiem wychowania. Jak grad posypały się obelgi, Zobeltitz zdawał się, sądząc po ruchach ust, prosić o spokój. Rozpętało się piekło. Gdy ochrypli konserwatyści, zarzycał Bley, że cierpliwość jego towarzyszy partyjnych skończyła się. I cierpliwość doktora Goebbelsa także. Zapropionowana przez nich lista członków zarządu ma być przyjęta bez żadnych zmian. I to w ciągu najbliższych dziesięciu minut. W przeciwnym razie opuszczą in corpore posiedzenie i natychmiast zto-

żą meldunek ministrowi. Ten oświadczył im, że w razie odrzucenia ich listy, bez żenady zakazuje działalności związku. Przedstawiciele partii Deutschnationale milczeli zaskoczeni. Pisarze z SA położyli zegarki na stół. Walterowi Bloemowi, który siedział blisko mnie przy tym samym stole, zaczerwieniły się błony na twarzy, pamiątki po studenckich pojedynkach. Jego sąsiad, pisarz robotniczy w stanie spoczynku Max Barthel, który próbował szczęścia w roli narodowosocjalistycznego poety, uśmiechał się ukradkiem i przepijał do mnie prosto z butelki, prawdopodobnie dlatego, żeby pokazać, że nadal czuje się robotnikiem. Zdawał się być zdziwiony, że traktowałem go jak powietrze. Zobelitz prosił pegazy z SA o zagwarantowanie parlamentarnego i nieskrępowanego toku posiedzenia i wyborów. Jeden z nich spojrział znudzony na zegarek i powiedział krótko: »Jeszcze pięć minut.« Gdy czas minął, lista została zaakceptowana. Przeciwnicy ulegli groźbie, sztantażowi, przemocy i patrzyli zdziwieni dziecięcym wzrokiem.

Wracając do domu zastanawiałem się, czy słowa »literatura«, »poezja«, »pisarstwo« i tym podobne zostały wspomniane przynajmniej raz, na marginesie? Nie, ani razu. Dla kogoś niewtajemniczonego mogło to być równie dobrze posiedzenie syndykatu węgla brunatnego czy też zrzeszenia sprzedawców sznurowadeł. Jakikolwiek zresztą dowolne posiedzenie w celu zaknebiowania ust nienarodowosocjalistycznym członkom związku.»

Nie mniej barwnie wyglądają notatki poety Oskara Lorke z pierwszego posiedzenia w Wydziale Literatury Akademii:

„W srode przed południem — posiedzenie ustawodawcze Wydziału Literatury. Uroczyste rozpoczęcie: obecni minister kultury Rust i prezes. Kiedy panów pisarzy pozostawiono samym sobie, zrobiło się nieprzyjemnie. Triumfują nasi mili staruszkowie: Emil Strauss i Hermann Stehr. Czują się teraz zaszczytzeni i ważni. Dano im przecież stanowiska w senacie. Zresztą w ogóle panowie nacjonalisci czuli się wyśmianici. Schäfer, zawsze skłonny do wściekłych wybuchów hysterii, krzykacz. Czarny Alberich. Kolbenheyer — to podstępne, nade, rozlaże rozgadane zero. Próżni dyktatorzy, którzy bardzo szybko zetknęli się z »nowymi«. Nienawisć do »Berlińczyków«. Obelgi. (...) Starzy członkowie zostali usunięci, oprócz mnie: Stucken, Molo, Scholz, Benn, Seidel, Halbe. Przewodniczącym zrobili Johsta, zastępcą — Buncka, sekretarzem — „sympatycznego” narodowego socjalistę

Wenera Beumelburga. Najlepszym wśród tych nowych jest Hans Grimm. Człowiek i pisarz. Dzięki tym głupim braciom-krzykaczom, Schäferowi i Kolbenheyerowi, posiedzenie stoczyło się do niewiarygodnie nędznego poziomu. Nie do pogardzenia jest także bezwzględność Willi Vespera. Ustanowiono siedem komisji. Mają one w zasadzie robić wszystko. Dobra to robota, możliwość tylu sytuacji konfliktowych — składam kondolencje! Czuję się w tym towarzystwie niczym powietrze. (...) Tak, Akademia przemieniła się po ostatnich zdarzeniach w kółko śpiewacze, w związek fryzjerów. Ale panowie Kolbenheyer i Schäfer z pewnością zgotują coś w swoim stylu”.



Pod koniec maja 1933 r. odbył się w Dubrowniku międzynarodowy kongres PEN-Clubów, w którym wzięła również udział delegacja Niemiec. W niemieckim PEN-Clubie faszyci zaprowadzili „porządek” w końcu kwietnia. Tak jak to później zrobili w Związku Pisarzy — o czym mówiliśmy wyżej — nie pozwolili na jakiegokolwiek zmiany w przedstawionej liście członków nowego zarządu i zażądali natychmiastowej jej akceptacji. W PEN-Clubie nie zachodziła tylko potrzeba stawiania alternatywy: albo przyjęcie listy, albo rozwiązanie organizacji i egzekwowanie tego z zegarkiem w rękę, ponieważ nie było tu większej opozycji. Niemiecki PEN-Club już w czasie Republiki Weimarskiej należał do bardzo konserwatywnych ugrupowań. Od maja 1933 r. PEN-Clubowi przewodniczyli Johst i Hans Hinkel, który od roku 1928 stał na czele największego w owym czasie narodowosocjalistycznego wydawnictwa w Berlinie, a od roku 1930 wchodził w skład kolegium redakcyjnego „Völkischer Beobachter”. Do Dubrownika pojechała trzyosobowa delegacja w składzie: Hanns Martin Elster, redaktor naczelny faszystowskich pism; Edgar Schmidt-Pauli, autor książek o Hitlerze i jego najbliższych współpracownikach, oraz Fritz Otto Busch, nikomu nie znany publicysta. Delegacja ta przybyła do Dubrownika z zamiarem udowodnienia światowej opinii publicznej, że III Rzesza nie boi się konfrontacji i potrafi na międzynarodowym forum obronić swoją „słuszną politykę” w dziedzinie kultury

i literatury, nawet w obliczu faktu, że większość niemieckich pisarzy znalazła się na emigracji. Stało się jednak inaczej. Mimo zręcznej, jak by się wydawało, taktyki popierania rezolucji amerykańskiej i zachowywania — w myśl postanowień PEN-Clubu — tzw. politycznej neutralności, nie udało się Niemcom odeprzeć generalnego ataku ze strony antyfaszystów. Dla lepszego zrozumienia wymowy zamieszczonych poniżej cytatów z materiałów dokumentacyjnych warto może przypomnieć treść końcowych sformułowań rezolucji amerykańskiej:

„Zwołujemy kongres międzynarodowy, aby zapobiec wykorzystaniu poszczególnych ośrodków PEN-Clubów, powołanych dla umacniania dobrej woli i zrozumienia pomiędzy państwami i narodami, jako narzędzie propagandy usprawiedliwiającej prześladowania prowadzone w imię szowinizmu, uprzedzeń rasowych i politycznych złośliwości”.

Przedstawiciele niemieckiego PEN-Clubu zdecydowali się przyjąć rezolucję amerykańską, uznawszy ją za ogólnikową, jakkolwiek mogli się obawiać, że będą musieli odpowiedzieć na pytanie, co zrobili, aby zwalczyć prześladowania rasowe w niemieckim PEN-Clubie. Pytanie takie rzeczywiście zostało im postawione. Punktem kulminacyjnym kongresu było pojawienie się niemieckiego pisarza, Ernsta Tollera, który przybył na obrady jako członek delegacji angielskiej. Drukowane poniżej fragmenty sprawozdań delegatów Niemiec faszystowskich wysłanych Erichowi Kochanowskiemu, współpracownikowi Rosenberga, oraz fragment przemówienia Tollera na kongresie i jego wywiad z jugosłowiańskim dziennikarzem pozwalają dojrzeć w pełnym świetle obłudną politykę faszystów, obliczoną na uzyskanie poparcia przedstawicieli delegacji innych krajów (takiego poparcia na krótki czas kilka delegacji im udzieliło), jak również zdać sobie sprawę z mądrej taktyki prezesa międzynarodowego PEN-Clubu, Wellsa, zmierzającej do obnażenia prawdziwego oblicza tej polityki.

„Drogi Parteigenosse Kochanowski

Podczas przejazdu z Triestu do Dubrownika usiłowaliśmy we trzech, popierani przez członka PEN-Clubu, pana Wolde, osłabić skrajnie i nieprzychylnie nastawienie wobec Niemiec. Zastaliśmy następującą sytuację: na pokładzie znajdowali się delegaci Anglii, Francji, Włoch, Holandii, Szwajcarii, Jugostawii, Belgii, Afryki Południowej, Szkocji i Żydowskiego PEN-Clubu. Początkowo wszyscy byli przeciwko nam, oczywiście z wyjątkiem Szwajcarów, Holendrów, Włochów. Wyglądało na to, że od samego początku będziemy musieli nastawić się na natychmiastowe wystąpienie. Dzięki osobistym rozmowom z poszczególnymi członkami różnych delegacji udało nam się powoli wyjaśniać sytuację. Przy tej okazji ustaliliśmy, że naszym głównym przeciwnikiem był przedstawiciel Francji, Żyd, Benjamin Crémieux, a także — z innych powodów — przedstawiciel Żydów, Szalom Asz. Francuz podburzał zarówno podczas poufnych rozmów między Mr. Wellsem, prezesem, i nami jak również przy każdej innej prywatnej okazji. Jego taktyka prowadziła do narzucania nam myśli o wystąpieniu. Za problem główny uważaliśmy przygotowanie do posiedzeń, które kryło w sobie szereg niebezpiecznych momentów.

Dzięki naszym staraniom udało nam się najpierw odbyć poufną rozmowę z dwoma głównymi przedstawicielami Anglii i przedstawicielami Francji. Tu mieliśmy wszystkich przeciwko sobie. Panowie ci zamierzali przepuścić wniosek bezpośrednio zwracający się przeciwko Niemcom (spalenie książek, problem żydowski). Nie było żadnej wątpliwości, że w wypadku wysunięcia takich wniosków musielibyśmy wystąpić. To poważne oświadczenie, jak też i kontynuowana przez nas taktyka rozpracowywania poszczególnych delegatów zrobiły widoczne wrażenie. Na wspólnej naradzie w wąskim gronie uzgodniliśmy plan działania, według którego na kolejną dyskusję rankiem następnego dnia, której życzył sobie prezes PEN-Clubu, mieli być wysłani (Schmidt) P(auli) i Wolde, aby w ten sposób lepiej zbadać teren, zostawiając tymczasem w rezerwie dwóch delegatów. Podczas tej właśnie dyskusji udało się przeciągnąć Marinettiego z delegacji włoskiej na stronę nas popierającą. Można było stwierdzić, że Wells nastawiony był dużo przychylniej i w sposób widoczny usiłował znaleźć wyjście pomiędzy naszym stanowiskiem Francuza i naszym. Jednakże nie dało to jeszcze żadnego rezultatu, i po naszym przybyciu wyznaczone zostało na wieczór tego samego dnia w hotelu „Imperial” w Dubrowniku nowe poufne posiedzenie. Tymczasem przeprowadziliśmy agitację wśród członków delegacji. Podczas wieczornego posiedzenia grono uczestników powiększyło się. Poza tym od tego czasu w posiedzeniu uczestniczyła również nasza oficjalna delegacja. Konferencja ta miała początkowo nadzwyczaj niebezpieczny przebieg, potem jednak, mimo wielokrotnych ingerencji Francuza, rozwijała się, z naszego punktu widzenia, korzystnie. Wszystkie punkty polityczne, z problemem żydowskim włą-

cznie, zostały przez prezesa pominięte. Także przez szczególnie niebezpieczny punkt palenia książek (które bez mała bardziej jeszcze wzburzyły umysły niż problem żydowski) chciano się najwidoczniej prześliznąć. Wells zaproponował, aby poddać pod dyskusję wniosek amerykański o treści uogólniającej i bez szczególnego odniesienia do Niemiec i polityki niemieckiej.

Tym samym osiągnięto, co następuje:

- 1) wniosek ostro piętnujący Niemców został oddalony,
- 2) przewidziany, zmieniony przez nas wniosek amerykański nie zawierał moim zdaniem niczego, co by nas upoważniało do natychmiastowego odrzucenia go i wystąpienia z PEN-Clubu,
- 3) wręcz przeciwnie, pozostawiliśmy sobie prawo działania i możemy, jeśli Komitet Wykonawczy wróci w listopadzie do tego problemu, zastrzec sobie swobodę podejmowania dalszych kroków,
- 4) zdobyliśmy na nowo dla niemieckiej grupy miejsce i głos w Komitecie Wykonawczym.

Warunkiem aprobaty propozycji Wellsa jest jednak jeszcze zapewnienie ze strony prezesa, że poza wnioskiem amerykańskim żadne inne wnioski, które w jakikolwiek sposób mogłyby się odnosić do Niemiec, nie zostaną postawione. Uzyskanie tego zapewnienia poruczyliśmy S(chmidtowi)-P(auli). Od spodziewanego raportu w tej sprawie uzależniamy dalsze decyzje, o których będziemy donosić. Jak oczekiwałem i jak z tej relacji, mimo jej zwięzłości, wynika — piszę to o drugiej w nocy tuż po powrocie na statek z posiedzenia w Dubrowniku — nasza ciężka sytuacja — co należy z naciskiem podkreślić — powstała w wyniku zniekształconych doniesień wrogiej nam prasy i wściekłej nagonki ze strony niemieckich emigrantów.

Tylko dzięki niezwykłej wytrwałości, cierpliwości i wciąż ponawianym próbom wyjaśnień udało nam się obejść zasadzkę Francuzów i ostatek francuskie wpływy na ważniejszych delegatów.

Jedno jest pewne: gdybyśmy się na kongresie nie pojawili i nie wykorzystali wszelkich sposobności na statku, kongres ten stałby się wielkim oskarżeniem Niemiec, które odbiłoby się w świecie szerokim echem.

Fritz Otto Busch
E. von Schmidt-Pauli
Hanns Martin Elster"

„27 maja

W naszym poprzednim sprawozdaniu zatrzymaliśmy się na zabiegach Schmidta-Pauli u Wellsa. Wells oświadczył mi, że nie przewiduje się żadnego innego wniosku na pierwszym roboczym posiedzeniu. W szczególności wniosek grupy palestyńskiej nie będzie mógł być poddany pod dyskusję, ponieważ przedstawiciele Palestyny nie zjawili

się. Radził nam przeciągnąć — na ile to możliwe — dyskusję nad wnioskiem amerykańskim po to, aby z braku czasu zebrani nie mogli zgłosić żadnego niespodziewanego wniosku, z którym zawsze trzeba się liczyć i którego omówienia trudno byłoby uniknąć. Wells chciał więc, jak mi się wydaje, przyjąć tymczasowo dość lojalną postawę.

Po południu 25 maja odbyło się jeszcze posiedzenie Komitetu Wykonawczego, na którym pojawiły się nowe kłopoty. Tak więc dowiedzieliśmy się nagle o przybyciu Tollera, co całkowicie zmieniło sytuację, ponieważ — jak twierdzono — Toller zjawiał się nie jako nasz człowiek, lecz na zaproszenie delegacji angielskiej. W sprawie Tollera Wells zajął, tak samo nagle, jak się zdawało, nieprzejednane stanowisko (w rzeczywistości — o czym dowiedzieliśmy się później — przygotował on ten spektakl z Tollerem jeszcze w Londynie). Na posiedzeniu tym bardzo trudno było walczyć H. M. Elsterowi; miał on bardzo niebezpiecznego przeciwnika, mianowicie sekretarza generalnego PEN-Clubu, Oulda, który współdziałał z Wellsem, gdy z drugiej strony Francuzi wkładali swe zatrute strzały do kołczanu. Elster wykonał swoje zadanie — trzeba to wyraźnie podkreślić — z dużą pewnością i energią, zresztą w ogóle pracował bardzo dobrze zarówno za kulisami jak i podczas licznych poufnych rozmów z członkami Komitetu Wykonawczego. W naszej pracy za kulisami znaleźliśmy poparcie członka PEN-Clubu, Ludwika Wolde, który wiernie z nami współdziałał.

Ustaliliśmy między sobą, że na oficjalnych posiedzeniach jako mówca powinien występować przede wszystkim S(chmidt)-P(auli), a to z tego względu, że dzięki swojej znajomości języków mógł przetłumaczyć swoje słowa na angielski i francuski, co — w związku z naszymi doświadczeniami ze złymi oficjalnymi tłumaczami na dotychczasowych kongresach — wydawało nam się istotne i co się później w pełni potwierdziło. Ja miałem pozostać w rezerwie dla składania oświadczeń, które miały spowodować podjęcie pozytywnej lub negatywnej decyzji.

A teraz o pierwszym posiedzeniu:

Po zatwierdzeniu kilku formalności prezes Wells poddał pod dyskusję rezolucję amerykańską. Ledwie to się stało, Francuzi pod wodzą Crémieux i Romainsa wystąpili z niespodziewanym wnioskiem, którego treści nie znaliśmy ani my, ani prezes Wells. Z pogłosek wynikało jednak, że wniosek zawiera ostre ataki przeciwko Niemcom. Już sam fakt, że państwa pod przewodnictwem Francji podczas dyskusji rozwijającej się na temat porządku obrad obstawały przy tym, aby wniosek został odczytany jeszcze przed przystąpieniem do debaty nad wnioskiem amerykańskim, błyskawicznie uzmysłowił nam powagę sytuacji. Wobec tego S(chmidt)-P(auli) włączył natychmiast swój głos do debaty i sprzeciwił się zamiarom Francuzów, sekundując — w bardzo sprytny sposób

angielskiemu przewodniczącemu. Ostatecznie Wells zgodził się na przedyskutowanie wniosku amerykańskiego, musiał jednak zapowiedzieć, że po załatwieniu tego wniosku zezwoli na dyskusję nad wnioskiem francuskim. Jako pierwszy do dyskusji nad tematem amerykańskim zgłosił się S(chmidt)-P(auli). Oświadczył w imieniu delegacji niemieckiej, że ogólnie biorąc moglibyśmy wniosek zaaprobować, bo poza podkreśleniem wzniosłych i pięknych celów PEN-Clubu nic nie zawiera. Sam fakt, że zjawiliśmy się tutaj, dowodzi już, że niemiecka grupa stała i nadal stoi na gruncie PEN-Clubu. (Oklaski ze strony zaprzyjaźnionych narodów, okrzyki, na które S(chmidt)-P(auli) nie chciał odpowiedzieć). Poza tym jesteśmy gotowi udzielić odpowiedzi na rzeczowe pytania, jeżeli nie będą one wchodziły na obszary polityki, bo jest to w myśl regulaminu PEN-Clubu zabronione. S(chmidt)-P(auli) wyraził na zakończenie nadzieję, że dyskusja toczyć się będzie w duchu koleżeństwa, w takim duchu, w jakim przybyła tutaj delegacja niemiecka. Po tym wniosek amerykański został jednogłośnie przyjęty.

Był to w pewnej mierze niemiecki sukces, gdyż dostarczyliśmy dowodu naszej dobrej woli, co u wielu uczestników — o ile nie byli nieprzychylnie do nas nastawieni — pozostawiało dobre wrażenie. Potem nastąpiło odczytanie wniosku francuskiego, do którego przyłączyły się trzy następne państwa. Wniosek ten był dla nas zupełnie nie do przyjęcia i wytoniła się konieczność zdecydowanego odrzucenia go, co nastąpiłoby z naszej strony, gdyby do dyskusji rzeczywiście doszło. Postanowiliśmy najpierw próbować nie dopuścić do dyskusji poprzez zgłoszenie protestu. Gdy to nie pomogło, chcieliśmy już złożyć oświadczenie, że w razie przystąpienia do dyskusji opuścimy salę. S(chmidt)-P(auli) zabrał teraz ponownie głos i dał do zrozumienia, jaki jest zamiar oficjalnych delegatów. Wzburzenie było bardzo silne, ponieważ wszyscy wyczuwali, o co chodzi. Gdy teraz — indagowany ciągle przez Francuzów — Wells oświadczył, że chce zezwolić na dyskusję, podniosłem się i złożyłem w napiętej atmosferze oświadczenie, że będziemy musieli opuścić salę. Celowo nie wspominałem przy tym, co by to opuszczenie oznaczało. Kongres znowu przystąpił do debaty na temat porządku obrad, przy końcu której Wells — najwidoczniej chcąc tym ugodzić Francuzów — zarządził odłożenie dyskusji dla dokonania pisemnego powielenia tak ważnego wniosku. Kiedy Crémieux zapytał nas sprytnie, czy bylibyśmy w takich okolicznościach gotowi spotkać się na wspólnej prywatnej dyskusji z delegatami dziewiętnastu państw przed rozpoczęciem popołudniowego posiedzenia, czy też odrzucilibyśmy także tę propozycję, S(chmidt)-P(auli) zinterpretował moje oświadczenie i po szybkim porozumieniu się z nami odpowiedział, że bylibyśmy oczywiście do tego gotowi, jednakże zastrzegamy sobie — rozumie się samo przez się — prawo do zajęcia własnego stanowiska.

Spotkanie naszej czwórki z przedstawicielami wymienionych państw odbyło się o godz. 15.00 w hotelu „Imperial”. Przedłożono nam tekst

motion*. Zabraliśmy się natychmiast do wypracowania kontrpropozycji, którą S(chmidt)-P(auli) po przystąpieniu do dyskusji odczytał — stosownie do wniosku francuskiego — po francusku. Pierwszą rzeczą jaką osiągnęliśmy, była zamiana słowa »motion« na »déclaration**». S(chmidt)-P(auli) bardzo sprytnie wysunął tę propozycję, a Francuzi, którzy w ogóle naszą gotowością do rozmów byli bardzo zdziwieni i wyraźnie mile zaskoczeni, przyjęli ją. Różnica między obydwojma słowami jest chyba oczywista. Następnie udało się całą serię niebezpiecznych punktów albo skreślić, albo tak zmienić, że ataki przeciwko Niemcom zostały złagodzone i déclaration otrzymała bardziej ogólny charakter. Pozostała jedynie wzmianka — tego nie dało się uniknąć — o spalaniu książek oraz zdjęciu kilku profesorów i innych intelektualistów ze stanowisk. Z drugiej strony ustalono, że nie powinno się dopuścić do wywołania dyskusji ani przez Tollera, ani przez przywódcę Żydów, Szaloma Asza, chociaż obydwa przemówienia zostały już zapowiedziane. Wobec samego oświadczenia nie potrzebowaliśmy zajmować stanowiska, mając możliwość wstrzymania się od głosu. Opuszczenie przez nas sali mogłoby wywołać tylko faktyczny rozłam. Wroga prasa bez wątpienia interpretowałaby nasze wyjście z sali obrad jako ucieczkę i rozpoczęłaby zakrojoną na szeroką skalę akcją przeciwko nam, która musiałaby pozostać bez odpowiedzi. W końcu udało nam się — szczególnie z Francuzami — dojść do porozumienia. Wprawdzie z godzinnym opóźnieniem, ale razem z naszymi dotychczasowymi przeciwnikami mogliśmy pojawić się na sali obrad.

Tu Wells przyjął nas nieoczekiwanie w zmienionym nastroju nie spodzianką, którą dopiero później wyjaśnił nam fakt, że Wells od początku za naszymi plecami inscenizował grę ukartowaną wspólnie z Tollerem, w której miał swój udział także sekretarz generalny. Zamiast bowiem powitać porozumienie z zadowoleniem, odczytał tekst oświadczenia i bez dyskusji poddać je pod głosowanie, Wells uparł się nagle przy dyskusji.

Przeczuwając duże niebezpieczeństwo natychmiast wystąpiliśmy, to znaczy S(chmidt)-P(auli), przeciwko Wellsowi, w czym Francuzi lojalnie nas poparli. Ale nic nie pomogło. Nawigaliśmy jeszcze szybko kontakt z Francuzami i dzięki S(chmidtowi)-P(auli) nawet z Tollerem, który ku naszemu zdumieniu zachował się w tym wypadku lojalnie i oświadczył, że będzie bronić zgłoszonego przez nas tymczasem wniosku o odłożenie dyskusji. Stało się tak, kiedy Toller wkroczył na trybunę — powitano go, rzecz charakterystyczna, gorącymi oklaskami — i złożył oświadczenie, że gotów jest zrezygnować z prawa głosu, jeżeli następnego dnia będzie miał możliwość zadania pytań delegacji nie-

* wniosek

** oświadczenie

mieckiej. Wtedy prezes oświadczył, że Toller nie będzie miał możliwości wypowiedzenia się, jeżeli nie zrobi tego natychmiast. Toller zdecydował się więc przemawiać.

W tym momencie podniosłem rękę, żeby zabrać głos w sprawie porządku obrad, co mi się udało dopiero po bardzo energicznej akcji i prawdziwym gradzie okrzyków ze strony naszej delegacji. W tej ogólnej wrzawie i atmosferze niewiarygodnego podniecenia wszystkich zgromadzonych — mało kto siedział jeszcze na swoim miejscu — powiedziałem co następuje: »Jeżeli prezes dopuści teraz Tollera do głosu, delegacja niemiecka będzie musiała niestety zrezygnować z dalszego udziału w obradach. Z największym trudem i pomimo naszych poważnych wątpliwości doprowadziliśmy do uzgodnienia stanowisk z przedstawicielami 19-tu państw. Uzyskaliśmy w tym — co muszę w pełni docenić — lojalne poparcie naszych francuskich przyjaciół, za co chciałbym złożyć podziękowanie szczególnie panu Jules Romainsowi. Jeżeli teraz, wbrew temu porozumieniu, pan Toller zostanie dopuszczony do głosu, będę razem z towarzyszącymi mi osobami musiał opuścić salę.«.

Tymczasem wstał jeszcze sekretarz generalny, Ould, i postawił nieoczekiwanie naszej delegacji — wbrew wszelkim regulaminom i przy aprobacie samego Wellsa — dwa pytania

- 1) Czy niemiecki PEN-Club protestował przeciwko paleniu książek?
- 2) Czy prawdą jest, że niemiecki PEN-Club wykluczył w okólniku sporą liczbę członków z powodu ich przynależności do partii komunistycznej? Jeżeli tak by to, to niemiecki PEN-Club wykroczyłby przeciwko zasadom PEN-Clubu.

Natychmiast wyskoczył S(chmidt)-P(auli) i zaprotestował przeciwko temu niezwykłemu naruszeniu porządku obrad. Jednocześnie usilnie prosił, aby nie stawiać delegacji niemieckiej w położeniu sprzed potudnia i nie zmuszać jej do postąpienia zgodnie ze zgłoszonym przed chwilą przez oficjalnego delegata, Buscha, oświadczeniem. Oprócz tego S(chmidt)-P(auli) wskazał ponownie na możliwość udzielenia odpowiedzi na pytania pana Oulda, jeżeli zostaną zgłoszone następnego dnia zgodnie z porządkiem obrad.

Gdy teraz Wells pomimo wszystkiego dał Tollerowi znak, aby zaczął przemawiać, chwyciłem moją aktówkę, dając w ten sposób sygnał do wymarszu. Delegacja niemiecka podniosła się z miejsc, już przy samym wyjściu S(chmidt)-P(auli) wykrzyknął do prezesa po angielsku: »To pan, panie prezesie, ponosi całkowitą odpowiedzialność za to, że — ku naszemu ubolewaniu — jesteśmy zmuszeni opuścić tę salę.«.

W niesłychanej wrzawie, w którą wmisczały się silne oklaski, w części dla nas od naszych przyjaciół, w części jednak z radości, że wychodzimy, opuściliśmy w zwartej grupie i całkowicie spokojnie salę.

Dalszy ciąg relacji jutro.

Busch.»

28 maja 1933 roku, nazajutrz po demonstracyjnym opuszczeniu sali obrad przez oficjalnych delegatów niemieckich, głos zabrał Ernst Toller:

„Wczoraj nie przemawiałem, chciałem oficjalnym delegatom niemieckim dać możliwość wypowiedzenia się i — jeśli potrafią — odparcia moich twierdzeń. Ponieważ jednak — pomimo wagi oskarżenia — uznali za stosowne wstrzymać się ze względów formalnych od udziału w posiedzeniu, jestem zmuszony przemawiać w ich nieobecności. Niech mi odpowiedzą kiedy indziej.

Z wielu stron radzono mi, abym nie przemawiał, przytaczano korzyści, jakie przyniosłoby mi milczenie.

Jedynie duch zobowiązuje pisarza. Kto wierzy, że obok gwałtu również zasady moralne kierują życiem, temu nie wolno milczeć. Tylko szczęśliwemu przypadkowi zawdzięczam fakt, że stoję teraz w tym miejscu. W nocy po pożarze niemieckiego Reichstagu chciano mnie aresztować. Przypadkowo przebywałem w Szwajcarii. Ta darowana mi wolność zobowiązuje mnie wobec wszystkich kolegów, którzy znajdują się w niemieckich więzieniach.

(Okrzyk z sali: Pan nie ma prawa przemawiać, bo jest pan komunistą. Pan mówi przeciwko Niemcom. Gdzie pan był podczas wojny?) Nie należę do Partii Komunistycznej. Przemawiam jako niezależny pisarz. W czasie wojny walczyłem po niemieckiej stronie. Gdy stwierdziłem, że wojna jest hańbą, zbuntowałem się przeciwko niej.

Wczoraj delegaci niemieccy przyjęli rezolucję, w której znalazły się słowa: »Obowiązkiem artysty jest zachowanie duchowej wolności po to, aby ludzkość nie stała się ofiarą niewiedzy, zła ani strachu. Literatura nie zna granic i powinna pozostać dobrem ogólnym i nieskrępowanym pomimo politycznych i międzynarodowych fluktuacji.«. Bardzo byłem zdumiony, że panowie z niemieckiego PEN-Clubu poparli tę rezolucję; chciałbym ich zapytać, jak się ma ta aprobata do rzeczywistości?

Kilka tygodni temu dziesięciu członków niemieckiego PEN-Clubu otrzymało zawiadomienia o wykluczeniu z PEN-Clubu, ponieważ pozostają w bliskich kontaktach z komunistycznymi i podobnymi organizacjami. Nie chcę się wcale zajmować niejasną wymową tych słów. Komunistą jest dla tych panów każdy, kto nie stoi w ich szeregach. Panowie z niemieckiego PEN-Clubu bronili się wczoraj przed rozpatrywaniem w PEN-Clubie problemów politycznych. Kiedy jednak wykluczają pisarzy ze względu na przekonania, to sami są tymi, którzy unoszą politykę do PEN-Clubu.

W ubiegłym roku w Budapeszcie panowie Schmidt-Pauli i Elster, którzy dzisiaj należą do oficjalnej delegacji, zaaprobowali rezolucję, która występowała przeciw prześladowaniu pisarzy za ich przekonania

A co uczynili, gdy pisarze niemieccy Ludwig Renn, Ossietzky, Mühsam, Duncker, Wittfogel, gdy dziesiątki tysięcy robotników niemieckich znalazły się w więzieniach?

(Okrzyk: Nic nie uczynili!)

10 maja zostały spalone dzieła następujących pisarzy niemieckich: Tomasza Manna, Henryka Manna, Stefana Zweiga, Arnolda Zweiga, Jakuba Wassermann, Liona Feuchtwangera, Kurta Tucholsky'ego, Emila Ludwiga, Teodora Wolffa, Alfreda Kerra, Bertolta Brechta, Rudolfa Oldena, von Ossietzky'ego, Hellmuta von Gerlacha, Lehmann-Russbüldta, dra Fryderyka Wolfa, Anny Seghers (laureatki Nagrody Kleista), dra Martina Bubera, dra Jürgena Kuczynskiego, Ericha Mariti Remarque'a, Józefa Rotha, Hansa Marchwitz, Alfreda Döblina, Wemera Hegemanna, Brunona von Salomon, dra Ernesta Blocha, Waltera Mehringa, Arthura Holitschera, profesora Gumbela, profesora Grossmanna, Krakauera, Hermann Wendla, K. A. Wittfogla, Egona Erwina Kisch, F. C. Weiskopfa, Johannesa R. Bechera, Reglera, Brunona Freia, Paula Friedländera, Heinza Pola, Ottona Hellera, Ericha Weinerta, Ludwiga Renn, dra Hermann Dunckera, Bernharda Kellermanna, Leonharda Franka, Franza Werfla, Ludwiga Fuldy, Vicki Baum, Adrienne Thomasa, Ferdynanda Bruckner-Taggera, Karla Sternheima, Georga Kaisera, Karla Zuckmayera, Georga Bernharda, Henryka Simona, Arthura Eloesera, Ericha Barona, H. E. Jacoba, Ernsta Tollera.

Co uczynił niemiecki PEN-Club przeciwko paleniu książek? Teraz zechcą panowie zapewne zauważyć, że spalanie było czynem młodych, niedojrzałych ludzi. Paleniu temu patronował minister Goebbels i on to nazwał spalone dzieła owych ludzi, którzy reprezentują szlachetniejsze Niemcy, »duchowym plugastwem«.

Po wojnie świat załata fala nienawiści do Niemców. To ci pisarze, których dzisiaj się prześladowuje, wyjeżdżali wtedy w świat i zabiegali o zmianę stosunku do Niemiec. To oni protestowali już w 1919 roku przeciwko niesprawiedliwości wersalskiej, a nie panowie, którzy nas dzisiaj prześladowają.

Co uczynił niemiecki PEN-Club przeciwko wygnaniu najznakomitszych niemieckich profesorów uniwersytetu i uczonych, przeciwko wypędzeniu Einsteina, Zondeka, Hellera, Lederera, Bonna, Schückinga, Goldsteina, i wszystkich innych z dziedziny medycyny, prawa i filozofii? Muszą oni żyć na obczyźnie, wypędzeni, oderwani od swojej pracy, swojego dzieła, nie mając możliwości służenia Niemcom, ludzkości. Co robił niemiecki PEN-Club, gdy artystom, takim jak Bruno Walter, Klemperer, Weill, Busch, Eisler, uniemożliwiono pracę w Niemczech? Co uczynił niemiecki PEN-Club przeciwko temu, że tacy znakomici malarze, jak Käthe Kollwitz, Otto Dix, Hofer, Klee i in. nie mogą już tworzyć w niemieckich akademiach, że utelki malarz Liebermann zmuszony był do wystąpienia z Akademią, ponieważ nie chciał pracować w warunkach uchylających jego godności. Co uczynił nie-

miecki PEN-Club przeciwko wygnaniu wielkich aktorów ze scen niemieckich? Co uczynił niemiecki PEN-Club przeciwko wykluczeniu pisarzy niemieckich z ich Związku? A co przeciwko czarnej liście dzieł tych pisarzy, których dzisiaj w Niemczech nie wolno ani drukować, ani sprzedawać w księgarniach? Co uczynił niemiecki PEN-Club przeciwko temu, że wydawcom zagranicznym, którzy chcieli drukować dzieła prześladowanych pisarzy, grozi się bojkotem całej ich produkcji w Niemczech?

Sekretarzem niemieckiego PEN-Clubu jest obecnie pan von Leers. W książce »Juden sehen dich an« (»Żydzi patrzą na ciebie«) odważył się na określenie Żydów jako diabłów w ludzkiej postaci. Pod zdjęciami Einsteina, Ludwiga, Lessinga umieścił słowo „nie powieszony”, pod zdjęciem von Erzbergera, który jak wiadomo nie był Żydem, słowa — „nareszcie skazany”.

Czy ten wybuch szaleństwa i barbarzyństwa zostanie potępiony, czy pan von Leers zostanie wykluczony z niemieckiego PEN-Clubu? Czy w ślad za przemówieniami i rezolucjami tych panów pójdą czyny?

Nie mówię o moim prywatnym losie, o prywatnym losie tych wszystkich, którzy muszą żyć dzisiaj na emigracji. Jest on dostatecznie ciężki. Nie wolno im nigdy więcej zobaczyć kraju, w którym się urodzili; są wygnani, wypędzeni, odepchnięci. Ale inni cierpieli bardziej.

Zyjemy w czasach szalejącego nacjonalizmu, brutalnej nienawiści rasowej. Intelktualści żyją w izolacji, zagrożeni, dręczeni przez przemoc, rozum jest w pogardzie, duch jest łżony.

(Okrzyk: Dlaczego mówią pan tylko o Niemczech?)

Jeżeli mówiłem tu tylko o wydarzeniach w Niemczech, to dlatego, że są to sprawy najbardziej palące i najbardziej mi bliskie, ale oczekuję od państwa, że wykażą państwo taką samą odwagę w walce przeciwko aktom przemocy w ich własnych krajach.

Będą mi zarzucac w Niemczech, że przemawiałem przeciwko Niemcom. To nieprawda. Zwracam się przeciwko metodom ludzi, którzy rządzą dzisiaj Niemcami, którzy nie posiadają jednak żadnego prawa do identyfikowania siebie z Niemcami. Milionom ludzi w Niemczech nie wolno swobodnie mówić i pisać. Przemawiając tutaj, mówię także w imieniu tych milionów, które nie mają dzisiaj głosu. Panowie powołują się na wielkie niemieckie umysły. Jak można pogodzić duchowe postulaty Goethego, Schillera, Kleista, Herdera, Wielanda, Lessinga z prześladowaniem milionów ludzi, z prześladowaniem Żydów? Jak nedoręczne są prawa, które obowiązują dzisiaj w Niemczech. Jedyny żyjący wnuk kanclerza Rzeszy, Bismarcka, nie mógłby być urzędnikiem państwowym, ponieważ jego babka jest Żydówką, syn von Stresemanna nie może zostać prokuratorem, ponieważ ma matkę Żydówkę.

Shaleństwo zapanowało w naszych czasach, barbarzyństwo rządzi ludźmi. Powietrze wokół nas staje się coraz gęściejsze. Nie oszukujmy

się, głos ducha, głos humanitaryzmu tylko wtedy jest poważany przez rządzących, gdy stanowi fasadę dla politycznych celów. Nie oszukujemy się, politycy tolerują nas tylko, a prześladują, gdy jesteśmy niewygodni. Ale głos prawdy nigdy nie był wygodny.

We wszystkich wiekach, pomyśleliśmy choćby o Sokratesie, Giordanie Bruno, Spinozie, ludzi ducha a prawdy meczono, prześladowano, zabijano, ponieważ nie chcieli ulec i wybierali raczej śmierć niż kłamstwo, bo wierzyli w świat wolności, sprawiedliwości i człowieczeństwa.

Wątpię, czy często jeszcze znajdować będziemy w tej Europie możliwość spotkania się i dyskusowania ze sobą. Kto się dzisiaj buntuje, jest zagrożony. Dotyczy to nas. Przewyciężmy strach, który nas poniża i upokarza. Walczymy na wielu frontach, może się zdarzyć, że staniemy naprzeciwko siebie. Ale w każdym z nas żyje świadomość ludzkości wyzwolonej od barbarzyństwa, kłamstwa, od społecznej niesprawiedliwości i zależności.

Ernst Toller

Istotnym uzupełnieniem wystąpienia Tollera na kongresie jest przeprowadzony z nim przez jugosłowiańskiego dziennikarza wywiad, który z powodzeniem — jak mi się wydaje — zastąpi wszelkie odautorskie komentarze:

„W prasie zagranicznej, zwłaszcza w niemieckiej i austriackiej, ukazały się po kongresie PEN-Clubów w Dubrowniku różne artykuły i sprawozdania, które przedstawiły przebieg kongresu w fałszywym świetle. Jak powszechnie wiadomo, najważniejszym wydarzeniem na kongresie było przemówienie i wystąpienie pana Ernsta Tollera. Ponieważ jednak stanowisko Ernsta Tollera przedstawiano w rozmaity sposób, zwróciliśmy się podczas jego pobytu w Sarajewie bezpośrednio do niego z prośbą o podzielenie się z nami poglądami na temat kongresu, jego przebiegu i dotychczas opublikowanych sprawozdań.

Przytaczamy tutaj rozmowę naszego redaktora, pana Viktora Rubčića, z panem Ernstem Tollerem:

Viktor Rubčić: Z jakimi uczuciami i wrażeniami jechał pan do Dubrownika?

Ernst Toller: Dotychczas odmawiałem wypowiedzania się na oficjalnych zebraniach na temat sytuacji pisarzy niemieckich, choć mnie niejednokrotnie — szczególnie we Francji i Anglii — do tego nakłaniało. Wiedziałem, że na kongresie PEN-Clubów zjawią się wystawcy narodowych socjalistów, którzy są współodpowiedzialni za prześladowanie literatury niemieckiej, niemieckich pacyfistów, niemieckich robotników, współodpowiedzialni za palenie książek, za wygnanie uczonych i artystów.

Powinni oni odpowiadać przed międzynarodowym forum za wszystkie popełnione czyny.

V. R. Jak zachowali się delegaci niemieccy?

E. T. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu zaaprobowali oni rezolucję, która potępia ich własne czyny, domaga się wolności dla działalności literackiej i umysłowej i piętnuje wszelkie prześladowania rasowe. Chciałem wykazać sprzeczność między ich słowami i czynami, sprzeczność między frazesami a rzeczywistością.

Delegaci niemieccy wyrazili gotowość złożenia wyjaśnień. Jedynie z tego względu zgodziłem się przemawiać o dzień później, niż planowałem.

Niemcy ustalili bowiem z Francuzami — rzecz paradoksalna — że dyskusja o stosunkach niemieckich odbędzie się dopiero po zgłoszeniu protestu przeciwko auto da fé itd. Nie zależało mi na sporze formalnym. Chodziło mi o meritum sprawy. Siła oskarżenia i obfitość materiału, który chciałem przedstawić Kongresowi, były tak poważne, że oficjalni delegaci niemieccy nie mogliby rozprawić się z nimi w paru słowach.

V. R. Dlaczego doszło do exodusu delegatów niemieckich?

E. T. Prezes Wells oświadczył — i miał do tego prawo — że porozumienia między delegacjami nie mogą godzić w prawo swobodnej dyskusji. Niemcy zastanili się swoją umową, powołując się na porządek obrad, i opuścili pod tym błahym formalnym pretekstem salę.

Tak, ci delegaci niemieccy to mimozy. Kiedy wypędzali tysiące intelektualistów z powodu ich przekonań, zamykali tysiące ludzi w więzieniach i odbierali milionom prawo głosu, wtedy nie troszczyli się o porządek spraw i konstytucję niemiecką. Ten exodus był właściwie ucieczką, ponieważ wobec powagi sprawy obojętne było, czy złożyliby wyjaśnienia tego, czy dopiero następnego dnia.

Widzi pan więc, że wcale nie chciałem załagodzić konfliktów z delegatami niemieckimi — jak pisały niektóre gazety — lecz że chciałem doprowadzić do konfrontacji.

V. R. Co było przyczyną niepowodzenia pańskiego planu?

E. T. Zamieszanie, jakie panowało na kongresie, słabość, brak zdecydowania i solidarności pisarzy.

Stu chłopów, jeżeli siedzą razem i rozmawiają o swoich sprawach, wie, o co chodzi, i żadna siła nie odwiedzie ich od istoty rzeczy. Pisarze natomiast, jeżeli spotykają się w większej grupie, zdają się tracić rozsądek. Zamiast stawiać sprawę jasno, zamiast opowiedzieć się po stronie prześladowanych niemieckich intelektualistów, niektóre delegacje manifestowały swoją solidarność z niemieckimi socjalistami narodowymi i motywowały swoje stanowisko protestem przeciwko wypowiedzi prezesa Wellsa, który przecież całkowicie słusznie wskazał, że oficjalni delegaci przyjmowali teoretyczne zarzuty dotyczące ich czy-

nów, ale zrobili unik, kiedy zaczynało się mówić o konkretnych faktach.

V. R. Kim byli ci niemieccy delegaci?

E. T. Pan Goebbels, pan Hinkel, pan Johst i pan von Leers, wielcy odpowiedzialni, niestety nie przybyli. W skład delegacji niemieckiej wchodził stosunkowo mało znani pisarze Elster, Schmidt-Pauli i komandor podporucznik rezerwy Busch (tak nazywał siebie przy rozdawaniu autografów). Schmidt-Pauli i Elster pojawili się już w ubiegłym roku w Budapeszcie jako obrońcy wolności myśli. Pan Elster napisał nawet po kongresie pompatyczny hymn pochwalny o moim budapeszteńskim przemówieniu i opublikował w „Kölnische Volkszeitung” pod tytułem „Ernst Toller w Budapeszcie”. Teraz, po kongresie w Dubrowniku, próbował umieścić w jugostowiańskich gazetach oświadczenie antysemickie.

V. R. Dlaczego tylko pan miał odwagę przyjechać, a inni nie?

E. T. Nie mogę panu na to odpowiedzieć. Musiałby pan zapytać tych innych.

V. R. Zarzucano panu, że przemawiał pan jako komunista?

E. T. To dobra metoda, gdy się nie chce słuchać prawdy. Ani nie należę do partii komunistycznej, ani też nie chodzi mi o problemy socjalizmu. Nie chodzi mi o nic innego, jak tylko o danie swobody myśleniu, walkę o prawa ludzi. Było obowiązkiem wszystkich pisarzy, obojętnie gdzie mieszkają, walkę o te prawa uczynić swoją własną. Wielu z nich nie zrozumiało, że jeśli z przyczyn formalnych nie dopuszczą do uchwalenia swojej własnej rezolucji, to wyświadczą najlepszą przysługę wrogom swobody myślenia.

V. R. Ale jakie było stanowisko tych pisarzy?

E. T. Ci sami delegaci, którzy razem z narodowymi socjalistami opuszczali salę, po moim przemówieniu z zachwytem ściskali mi dłoń. Nie był ten kongres chwalebłą manifestacją intelektualistów świata!

V. R. Pan w każdym razie ma odczucie, że został pan u nas zrozumiany? Rzadko się zdarza, żeby ktoś w ciągu niewielu dni stał się tak popularny i żeby go witano wszędzie z tak szczerą radością”.



Na tym zakończyły się podejmowane przez faszystów próby współdecydowania na międzynarodowym forum w sprawach literatury. Udawało im się wprawdzie później tu i ówdzie zorganizować jakąś wystawę, czy preforsować tłumaczenie jakiejś książki o treści narodowosocjalistycznej, ale były to tylko sporadyczne wypadki. W Rzeszy niebawem doszło do

rozwiązania zarówno Akademii Sztuk, jak i PEN-Clubu i Związku Pisarzy, zastąpiła je powołana do życia jedna tylko państwowa instytucja, tzw. Reichsschrifttumkammer (Izba do Spraw Piśmiennictwa Rzeszy) podlegająca Reichskulturkammer (Izba do Spraw Kultury Rzeszy), na której czele stanął J. Goebbels. Działalnością Izby do Spraw Piśmiennictwa kierował początkowo Blunck, a od 1935 r. — Johst. Jedynie członkowie tej izby uzyskiwali zezwolenie na druk. O przyjęciu do niej decydowały najwyższe instancje. Nie było mowy o demokratycznych metodach ani o wspólnych decyzjach jakiegokolwiek większego grona, czy tym podobnych formach współdziałania. Dla uzupełnienia naszej „kroniki” warto jeszcze odnotować fakt, że Johst i Benn w marcu 1934 r. ogłosili list do pisarzy świata, w którym „wyjaśniają”, dlaczego, dalsza przynależność PEN-Clubu niemieckiego do międzynarodowej organizacji PEN-Clubów jest niemożliwa, agitując na rzecz programu określonego słowami „kulturalna osobowość ojczyzny”, który miałyby uchronić „białą rasę” przed upadkiem.

Ograniczyliśmy się świadomie do przedstawienia sytuacji z okresu niespełna pięciu miesięcy władzy faszystowskiej, bo akurat tyle czasu wystarczało jej do zaprowadzenia niemal absolutnego „porządku” w dziedzinie kultury i literatury w III Rzeszy.

Bibliografia — patrz s. 380.

Materiał dokumentacyjny w przekładzie ANNY CZAJKI i KRZYSZTOFA BARTOSA.